



# *Shirley Jump*



# *Czerwony diament*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poruszył palcami stóp, które znikły nagle w świeżej wiosennej trawie. Kane Lennox sypiał na materacach wartych więcej niż niejeden średniej klasy samochód, stapał po kosztownych perskich dywanach i nosił buty szyte na miarę przez znanego mistrza we Włoszech, ale jeszcze nigdy nie doświadczył podobnej przyjemności. Czuł, jak rozchodząca się po całym ciele nieznana rozkosz uwalnia go od dręczącego go od niepamiętnych czasów nerwowego napięcia.

Jeszcze raz poruszył palcami, zastanawiając się, jakim cudem chodzenie boso po trawie sprawia mu tyle frajdy.

- Co pan tu, u licha, robi? - usłyszał za sobą kobiecy głos.

Odwrócił się gwałtownie. Na wprost niego stała wsparta pod boki wysoka szczupła blondynka. Miała rozpuszczone jasne włosy, delikatnie rzeźbione rysy, wielkie zielone oczy i wypukłe czerwone wargi. W tej chwili jednak na jej twarzy malowało się nieskrywane oburzenie, a w jednej ręce ścisnęła telefon komórkowy, najwyraźniej gotowa wezwać na pomoc stróżów porządku.

Prawdę mówiąc, wcale jej się nie dziwił. Niewątpliwie musiał wyglądać, hm... dziwnie. W geście poddania podniósł obie ręce.

- Moje zachowanie - odparł - i moją obecność tu, gdzie jestem, da się logicznie wytłumaczyć.

Blondynka z niedowierzaniem podniosła brwi.

- Ciekawe jak. Obcy człowiek łązi boso w środku dnia po trawniku przed domem mojej siostry. Da się logicznie wytłumaczyć, też coś! - Przyłożywszy rękę do czoła, by osłonić oczy od słońca, rozejrzała się po okolicy. - Albo zaraz z krzaków wyskoczy facet ze sprzętem i zacznie nagrywać dla „Ukrytej kamery”, albo urwał się pan na wycieczkę z domu wariatów.

Roześmiał się.

- Nie jestem wariatem. Przysięgam.

W duchu przyznał, że ostatnie tygodnie faktycznie omal nie doprowadziły go do szaleństwa. I skłoniły do ucieczki do Chapel Ridge, małej zapadłej miejsciny w stanie Indiana. Niemniej chodzenie boszo w jasny kwietniowy dzień pod cudzym domem może świadczyć o lekkim zaburzeniu.

- W takim razie pozostaje tylko pierwsza możliwość. Ale ja nie jestem w nastroju, żeby występować w telewizji... albo tolerować nieproszonych gości. - To mówiąc, blondynka podniosła rękę, w której trzymała komórkę. - Tak czy inaczej, wzywam policję.

- Chwileczkę. - Postąpił krok w jej kierunku, ale zaraz się cofnął. - Niech się pani przyjrze. - Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jej twarz nie jest mu obca, chociaż nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. - Pani musi być siostrą panny młodej. Siostrą Jackie.

- Ale z pana bosonogi detektyw - parsknęła. - Wystarczyło przeczytać przyklejone na ścianie domu życzenia dla

Jackie i Paula i zauważyć weselne ozdoby na skrzynce pocztowej, żeby się domyślić.

Kane obrzucił ją taksującym wzrokiem.

- Dlaczego jest pani taka nieprzyjemna?

Z westchnieniem opuściła rękę, w której trzymała komórkę.

- Miałam ciężki dzień i w ogóle... - Zastanowiła się nagle. - Skąd pan wie? Nic panu o sobie nie mówiłam.

- Proszę posłuchać. Zaraz sobie pójdę i dam pani spokój. Widocznie trafiłem na zły moment. - Pochylił się i, wzięwszy do ręki stojące w trawie eleganckie włoskie mokasyny, zaczął się oddalać.

- Proszę poczekać!

Zatrzymał się. Przez moment gotów był przysiąc, że w jej okrzyku odnalazł to wszystko, co skłoniło go do podjęcia tej zwariowanej wyprawy. Szybko jednak wrażenie zgasło i powróciła dawna nieufność.

- Nie usłyszałam wyjaśnienia, dlaczego łązi pan bosy w jasny dzień po cudzym trawniku.

- Czy musimy do tego wracać?

- A kiedy to niby przestaliśmy o tym mówić? - zapytała ostro, podpierając się na nowo pod boki.

Gdyby chciał jej wytłumaczyć, dlaczego i po co się tutaj zjawił, musiałby wyjawic zbyt wiele osobistych informacji. I skończyłoby się na tym, że po pół godziny liczące 4 910 mieszkańców Chapel Ridge wiedziałoby, kim jest. I tym samym cały jego plan wzięłby w łeb.

Susannah Wilson, przypomniał sobie. Tak się ona nazywa. Suzie cukiereczek, jak mówił o niej Paul.

Zanim zdążyła mu zadać kolejne pytanie, ruszył w kierunku niewielkiego wynajętego samochodu, jednego z tańszych amerykańskich modeli, samochodu w niczym nie przypominającego srebrzystego bentleya, jakim normalnie się poruszał. Popularne, pozbawione cech szczególnych, banalne auto przeciętnego Amerykanina.

Idealne dla jego celu.

Susannah szła za nim. Najwyraźniej nie zamierzała mu tak łatwo odpuścić.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Kim pan jest? Po co pan tu przyjechał?

- Nie muszę się tłumaczyć. Żyjemy w wolnym kraju.

- Ale pan wkroczył na cudzą własność. A to jest przestępstwo.

Kane uśmiechnął się pod nosem. Wybierając się na tę osobliwą wyprawę, nie przypuszczał, że czeka go nieoczekiwane spotkanie z całkiem miłą awanturnicą.

- Tylko jeżeli się to robi bez upoważnienia. A ja zostałem zaproszony - odparł, patrząc jej bezczelnie w oczy. - Jestem w końcu drużbą pana młodego.

- Dziwnych przyjaciół sobie wybierasz. Narzeczony Jackie, Paul Hurst, roześmiał się.

- Wyluzuj, Suzie. Kane jest w porządku. Musiał mieć ważny powód, żeby robić to, co robił.

- A w ogóle to gdzie go poznałeś? Pewnie w więzieniu.

- Na studiach. Mieszkaliśmy w sąsiednich pokojach i chodziliśmy częściowo na te same wykłady. Bo Kane... - zaczął Paul, ale ugryzł się w język. - To porządny chłopak. Ręczę za niego.

Susannah poderwała się na nogi i zaczęła zbierać z niskiego stolika brudne naczynia, które pod jej nieobecność w domu mnożyły się jak króliki. Ani Paul, ani Jackie nie ruszyli się z kanapy. Nadal siedzieli przytuleni do siebie, wpatrzeni w ekran wielkoekranowego telewizora, zakupionego w ślubnym prezencie przez Suzie i pozostałe druhny.

- Już raz ci zaufałam, a ty za to ukradłeś mi siostrzyczkę - mruknęła Susannah. Paul znowu się roześmiał i mocniej przytulił Jackie.

- Ale za to zyskałaś brata - odparł.

- I to jakiego przystojniaka - dodała Jackie. Podniosła głowę, popatrzyła z uznaniem na ciemnowłosego mężczyznę, z którym od trzech lat prawie się nie rozstawała, po czym złożyła na jego policzku czuły pocałunek.

- Widocznie Święty Mikołaj nie dosłyszał, kiedy przed Świętami prosiłam go o kucyka - żartobliwie odparowała Suzie.

Ruszyła ze stertą naczyń do kuchni, wstawiła je do zlewu, napuściła gorącej wody i zabrała się do zmywania. Stawała w tym samym miejscu i wyglądała przez to samo okno na ten sam ogródek przez całe niemal życie, odkąd wyrosła na tyle, by wspiąwszy się na stołek, dosięgnąć rączkami zlewu. W tamtych dawnych czasach mama stała obok niej i wycierała naczynia, a za ich plecami grało radio.

Od tamtej pory minęło wiele lat, odbiornik radiowy przestał działać, jasno pomalowane ściany kuchni straciły kolor, a zmywanie naczyń przestało być zabawą.

- Suzie, przecież nie musisz tego robić - usłyszała za sobą głos Jackie. Siostra weszła za nią do kuchni i, oparta plecami o lodówkę, starannie opilały sobie paznokcie.

- Gdybym je zostawiła...

- Nic by się nie stało - przerwała Jackie. - Możesz pozmywać później. Albo wcale.

Susannah wiedziała, że jeżeli ona nie pozmywa naczyń, nikt tego nie zrobi. Paulowi i Jackie nie spieszyło do prac domowych. Umówili się, że w zamian za niewysoki czynsz pokrywający część spłat kredytu hipotecznego na dom, Suzie weźmie na siebie większość domowej roboty. Skutek był taki, że to ona wykonywała wszystkie prace w domu, lecz na ogół nie miała im tego za złe. W końcu dzięki umowie mogła zaoszczędzić więcej pieniędzy na swoją wymarzoną wyprawę.

Wyzwolenie.

Jeszcze tylko tydzień. Za tydzień stąd ucieknie. Z tego domu. Z tej miejsciny. Wyruszy w świat, o którym zawsze marzyła. Podniosła oczy znad zlewu i spojrzała na wiszącą na oknie miniaturkę wieży Eiffla z kolorowego szkła, w którym odbijały się wpadające przez okno promienie słońca.

„Mnie nigdy się to udało - powiedziała matka w tamte pamiętne, jej ostatnie święta Bożego Narodzenia, wręczając Suzie symboliczną imitację najslawniejszej paryskiej budowli. - Ale mam nadzieję, że moja ukochana córka to kiedyś za mnie zrobi. Pojedzie w nieznany świat, którego mnie nie było dane zobaczyć”.

Tak będzie. Zrobi to za wszelką cenę.

- Zdążę je zmyć przed wyjazdem do pracy - powiedziała.

- Ale przecież dopiero co wróciłaś. Myślałam, że na dzisiaj skończyłaś.

- W ostatniej chwili przyszło parę zamówień. Zawsze wpadnie dodatkowo parę groszy - odparła, spoglądając na siostrę ze znaczącym uśmiechem.

- Za dużo pracujesz - oświadczyła Jackie. Zlustrowawszy paznokcie, uśmiechnęła się i schowała pilnik do kieszeni.

- Bo wiem, do czego dążę. Mam swój cel.

- Chcesz powiedzieć, że masz dosyć mieszkania razem z nami. - Jackie podeszła i objęła Suzie. - Mam do ciebie prośbę, siostrzyczko. Zrobisz coś dla mnie?

- spytała przymilnie.

- Co takiego?

- Skoro i tak wyjeżdżasz, czy mogłabyś w powrotnej drodze odebrać ozdoby na stół? Muszę za chwilę pojechać do miary, a potem...

- Na przyjęcie.

Panieński wieczór. W którym Susannah też miała wziąć udział, w końcu była druhną. Jednakże po namyśle postanowiła z niego zrezygnować. Nie czuła się dobrze w towarzystwie przyjaciółek Jackie, które jej starszą siostrę traktowały na ogół jak niepotrzebny balast.

- Może jednak przyjdiesz. Panieński wieczór to jedna z najfajniejszych części wesela - zachęciła ją Jackie.

- Dziękuję, ale wolę nie - odparła Suzie, szorując trzymany w ręku talerz. - Niespecjalnie gustuję w przyjęciach.

- Ty zawsze się wykręcasz.

- Nie wykręcam się, tylko nie mam czasu. Muszę pracować. Jackie westchnęła.

- Dzięki, że odbierzesz te ozdoby. Ratujesz mi życie - dodała przymilnie.

Susannah nie bardzo wiedziała, jak wszystko pogodzi. Miała przecież jeszcze inne obowiązki, a wieczorem musiała wyprowadzić na spacer psy ze schroniska.

- A Paul?

Jackie roześmiała się.

- Nie chcę źle mówić o moim. przyszłym mężu, ale Paul nie odróżni ozdoby na stół od obcęgów.

Susannah zajęła się szorowaniem przypalonej kamionki. Po chwili spytała:

- A kiedy zdążysz je poskładać i ustawić?

- Poskładać i ustawić? - powtórzyła Jackie, jakby taka myśl po raz pierwszy przyszła jej do głowy. - Na śmierć zapomniałam, że trzeba to wszystko poskładać. - Zastanowiła się. - Może jutro po południu? Nie, jutro mamy spotkanie z pastorem. Jutro wieczorem? Też nie. Jutro wieczorem idziemy z Paulem do Fitzgeraldów. Pamiętasz Fitzgeraldów? Rodzice się z nimi przyjaźnili. To może potrwać. Wiesz, jak lubią się rozgadywać. No tak, a w czwartek mamy próbę...

- Słowem, masz tysiące innych obowiązków - dokończyła Susannah.

Obowiązki Jackie miały na ogół charakter towarzyski. Życie starszej od niej o cztery lata, dziś dwudziestosześcioletniej Susannah, toczyło się całkowicie odmiennym torem. Stłumiła odruch niechęci. Za parę dni Jackie zostanie mężatką i będzie musiała stawić czoło prawdziwym obowiązkom. A wyręczającej ją dotąd we wszystkim Suzie już przy niej nie będzie.

- Cud, że przy tym wszystkim mam czas chodzić do pracy! - zawołała Jackie. - Gdyby nie to, że Paul i ja potrzebujemy pieniędzy, codziennie zwalniałabym się pod pretekstem choroby. Kiedy ja z tym wszystkim zdążę? Jerry powiedział, że możemy wcześniej ustawić stoły, bo nie ma wcześniejszych zamówień, ale nie zdążyłam nawet... - Tu Jackie zawiesiła głos, a na jej twarzy pojawił się pełen nadziei uśmiech. Susannah dobrze go znała. - Moja kochana, co właściwie robisz dzisiaj wieczorem?

- Nie, Jackie. Muszę...

- Suzie, proszę. Bądź tak kochana. - Jackie złożyła ręce jak do modlitwy. -

Ostatni raz. Nigdy więcej o nic cię nie poproszę, przysięgam.

No i Susannah się zgodziła. Jak zawsze.



## *ROZDZIAŁ DRUGI*

Kane szefował istniejącej od czterech pokoleń, wartej miliardy dolarów międzynarodowej firmie importującej szlachetne kamienie, negocjował milionowe transakcje, pojmował w lot najzawilsze raporty finansowe, więc dlaczego nie miałby sobie poradzić z rozpaleniem kominka? Tymczasem kolejna zapałka oblizywała zaledwie ułożone w palenisku polana, nie wzniecając ognia.

Wynajął drewnianą chatę położoną na obrzeżach miasteczka, kazał dostarczyć drewno, a po drodze wstąpił do sklepu po zapałki i był przekonany, że sprawa załatwiona.

Cóż, kiedy szósta zapałka zgasła, parząc mu jedynie palce. Wściekły i sfrustrowany, zaklął pod nosem. Jeszcze godzinę temu myśl o nieznanym doświadczeniu wprawiała go w euforię, a teraz miał ochotę zadzwonić po szofera, by natychmiast zabrał go na lotnisko, gdzie czeka prywatny odrzutowiec korporacji Lennox Gem.

No nie. Musi sobie poradzić.

Cofnął się od kominka i zebrał myśli, przywołując w pamięci obrazy filmowe i informacje wyczytane w przejranej podczas lotu broszurze o kempingach i biwakowaniu. Za mało cienkich patyków na podpałkę, doszedł do wniosku.

Wyszedłszy przed chatę, wciągnął w płuca świeże powietrze, po czym zabrał się energicznie do zbierania chrustu. W trakcie wyciągania przysypanej ziemią gałązki uwalnął sobie rękę i popatrzył ze zdziwieniem na brud, który dostał się pod paznokcie.

Było to kolejne nowe doświadczenie. Chyba nigdy dotąd nie miał brudu pod paznokciami. Z zadowoleniem zanurzył w ziemi obie ręce. Poczł świeży zapach ziemi, która, gdy podniósł dłonie, z cichym chrzęstem osypała się na trawę.

Zaśmiał się cicho. A to ci heca! Jeden z największych bogaczy świata zabawia się w nawiązywanie bezpośredniego kontaktu z matką naturą.

Coś zaszeleściło w rosnących nieopodal krzakach i Kane poderwał się na nogi, ściskając w rękach chrust.

- Hej, jest tu kto?

A może nie kto, tylko co?

Kiedy dwa dni temu zdecydował się przyjechać tu nie tylko na wesele Paula, przeprowadził dokładny wywiad na temat dostępnych w małym miasteczku usług, ale nie przyszło mu do głowy, by sprawdzić, czy w okolicy nie pojawiają się „niebezpieczne dzikie zwierzęta”. Może w krzakach buszuje na przykład niedźwiedź?

Nie był pewien, czy wiać do chaty, czy stawić napastnikowi czoło. Oczami duszy widział już nagłówki w gazetach: „Śmierć lekkomyślnego miliardera: nierówne starcie pieniędzy z niedźwiedziem”. Dziennikarze będą mieli gratkę. Zostanie ośmieszony na wieczne czasy.

Nagle z krzaków wyłoniła się kula brązowo-białego futra i Kane już miał wziąć nogi za pas, gdy zdał sobie sprawę, że szusująca ku niemu futrzana kula to najzwyczajniejszy pies.

W następnej chwili zwierzak podbiegł do Kane'a i zaczął go obskakiwać z wesołym szczekaniem. Tego tylko brakowało! Kane nigdy nie miał psa. Tylko raz, gdy był mały, matce przyszło do głowy, że byłoby zabawnie mieć w domu szczeniaka, ale kiedy się okazało, że małe pieski sikają i paskudzą, zawiedziona oddała pieska służącej.

Tymczasem nieznajomy pies zachowywał się jak drugorzędny polityk, zebrzący u wyborców o chociaż jeden głos.

Kane obronnym gestem podniósł do góry garść patyków.

- Hej, ty, odczep się! Idź sobie!

Nic z tego. Pies nadal go obskakiwał. Próbując go uspokoić, Kane ostrożnie poklepał go po łbie.

- No, wystarczy tego! Wracaj do domu!

Bez skutku. Pies tylko zaszczekał, po czym zaczął się kręcić w kółko, próbując złapać zębami własny ogon.

- Jak ty nie chcesz iść, to ja się oddalę - oświadczył Kane, odwracając się i biegnąc do domu.

Cóż, kiedy pies wśliznął się do środka, zanim zdążył zamknąć drzwi.

- O nie, mój drogi! Wynoś się, no już! - powiedział Kane, otwierając na oścież drzwi. Pies przysiadł na ogonie i podniósł ku niemu mordkę, na której malowało się przyjazne wyczekiwanie. - Do domu!

Pies zaszczekał. Kane nie miał pojęcia, o co może mu chodzić, odniósł jednak wrażenie, jakby pies domagał się jedzenia.

- Nie mam jedzenia dla psów. Nie mam nawet...

A to dopiero! Zapomniał zrobić zakupy. Jak na człowieka, którego każdy dzień był zwykle z góry zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach, zachował się jak wariat.

Wszystko przez tę blondynkę z trawnika. To przez nią pomieszało mu się w głowie. Gdyby nie ona, na pewno nie zapomnieliby kupić sobie jedzenia. Pamiętałby też o tym, by sprawdzić okolice domu, no i że na rozpałkę potrzeba chrustu. I nie miałby teraz w domu tego nieproszonego gościa.

Trzeba się go pozbyć. Kane znowu otworzył drzwi, ale pies nawet nie drgnął. Najwyraźniej nie da się zwierzakowi przemówić do rozumu. Pies nie miał obroży, więc nie było jak zidentyfikować właściciela. Kane odruchowo sięgnął po telefon i zadzwonił do pani Maxwell, która wynajęła mu chatę.

Po wysłuchaniu opowieści siwowłosa Angela Maxwell parsknęła śmiechem.

- Nie, kochaniutki, nie mam pojęcia, czyj to pies - odparła. - Wokół chat kręci się wiele bezpańskich psów. Turyści często puszczają je wolno. My tak bardzo nie przestrzegamy obowiązku trzymania psów na smyczy. To małe miasteczko, wszyscy na ogół znają swoje zwierzaki.

- Nie wie pani, do kogo może należeć? Średniej wielkości, w biało-brązowe łaty. Strasznie uparty - dodał, rzucając zwierzakowi nieprzyjazne spojrzenie.

Pies pomachał ogonem i, Kane gotów był przysiąc, bezczelnie się uśmiechnął.

- Nie, nie kojarzę. Ale powiem ci, kochaniutki, kto będzie wiedział. Zawieź swojego kudłacza do „Spa dla Psa”. Właścicielka prowadzi jednocześnie przytułek dla zwierząt. Na pewno ci pomoże.

- Do „Spa dla Psa”?

- Ano. To myjnia i salon dla psów - odparła ze śmiechem pani Maxwell. - W bok od Main Street. Nie można nie zauważyć. Na szyldzie zobaczysz...

- Niech zgadnę. Hot doga w wannie?

- Jak byś zgadł. Tyle że nie hot doga, a jamnika. Fantastyczny szyld. Mój syn go malował. - To rzekłszy, pani Maxwell odłożyła słuchawkę.

Kane głośno jęknął. Niechętnie popatrzył na psa.

- No to jedziemy na spacer.

Przybłąda wreszcie zrozumiał. Poderwał się na cztery łapy i, machając ogonem, ruszył do samochodu za Kane'em, którym aż rzucało na myśl o psiej sierści na siedzeniu pasażera. Zanim jednak zdążył zawołać: „Na podłogę!”, przybłąda siedział już w samochodzie.

Kane tylko westchnął. No i doczekałem się najlepszego przyjaciela, pomyślał.

Zamknawszy świeżo wykąpanego pudła pani Prudhomme w ażurowym koszu, Susannah zdjęła fartuch i odgarnęła włosy z czoła.

- Pięknie wyglądasz, Elegantko. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Biała pudliczka cicho szczeękła, po czym ułożyła się na dnie kosza w oczekiwaniu na powrót właścicielki. Elegantka była wyjątkowo uległą klientką psiego salonu piękności, nie lubiła tylko obcinania paznokci.

Susannah podniosła wzrok na wiszący na ścianie plakat przedstawiający paryski Łuk Triumfalny. Po wykonaniu kosmetycznych zabiegów blisko dziewięciuset psom i trzystu kotom zaoszczędziła dosyć pieniędzy na zrealizowanie

swego największego marzenia. Czas wyrzeć poza granice rodzimego miasteczka i zacząć poznawać świat. Odkurzyć jeszcze nieużywany paszport i wypróbować zdobytą na kursach znajomość francuskiego.

Rozmarzyła się na moment, wyobrażając sobie czekające ją przeżycia. Z miłej zadumy wyrwał ją dźwięk zawieszzonego nad drzwiami dzwonka. Z cichym westchnieniem wróciła do rzeczywistości.

- Przyczepił się do mnie. Proszę mnie od niego uwolnić. Najpierw zobaczyła uroczego biało-brązowego spaniela, a zaraz potem doprowadzonego do rozpacznej druzębę. Człowieka, który nie dalej jak dziś rano łąził po jej trawniku. Tyle że tym razem miał na nogach buty.

- Znowu pan?

- Tak, znowu ja. Pani tu pracuje?

Skinęła głową, nie zadając sobie trudu, by wyjaśnić, że jest właścicielką, a nie pracownicą salonu. Schyliła się i podrapała za uchem biało-brązowego psa.

- To pana pies?

- A broń Boże! Jakiś przybłąda, który nie chce mnie opuścić.

- Dziwnie się ich ostatnio namnożyło - zauważyła, kręcąc głową.

Kane popatrzył na nią z wyzywającym uśmiechem, który sprawił, że Susannah przyjrzała mu się z większą uwagą. Jest bardzo przystojny, pomyślała i serce na moment jej zabiło, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- Czyżby to była aluzja do mnie? - zapytał.

- Ależ skąd - odparła, nadając swemu głosowi przesadnie niewinny ton. - Nie wie pan, czyj to pies? Wygląda na jakąś mieszankę.

- Miałem nadzieję, że pani mi powie, czyj to ulubieniec. Przybłąkał się do mojej chaty nad jeziorem.

Wynajął chatę nad jeziorem? Faktycznie miał na sobie dżinsy i bawełnianą koszulkę, ale koszulka wyglądała na świeżo wyjętą z opakowania, no a buty -

zwróciła na nie uwagę, ponieważ rano chodził boso - z pewnością nie są przeznaczone do chodzenia po lesie. Musiały kosztować fortunę.

Kane Lennox w niczym nie przypominał normalnych turystów, którzy zazwyczaj wynajmują chaty nad jeziorem i są w większości amatorami wędkarstwa. On może być modelem albo bogaczem w trzyczęściowym garniturze.

Jednakże z tym wrażeniem kłócił się wyraz jego intensywnie niebieskich oczu. Oczu, z których wylazły burze z piorunami. Ciekawe, kto się za tym spojrzeniem ukrywa: mężczyzna w trzyczęściowym garniturze czy facet łażący boso po cudzych trawnikach?

- Niestety, nie potrafię powiedzieć, czyj on może być - powiedziała, nachylając się nad sympatycznym zwierzakiem. - Ale wywieszę w oknie ogłoszenie.

- Ach, to świetnie. Bardzo pani dziękuję - odrzekł, kierując się do wyjścia.

- Chwileczkę. Chyba nie zostawi go pan tutaj? Zatrzymał się w drzwiach.

- Nie mam wyjścia. Nie mogę się nim zajmować.

- Dlaczego? Ma pan alergię na psy?

- Nie sędzę.

Ciekawe. To, jak się zachowuje. I jak mówi. Nic nie pasuje do obrazu typowego wędkarza albo myśliwego, który wyrwał się na parę dni z domu, by odpocząć po ciężkiej codziennej pracy. Znani jej przyjaciele Paula to poczciwi faceci z sąsiedztwa, którzy lubią posiedzieć sobie w barze, obalić parę piw, rzucić pieprzny dowcip, pogawędzić o tym i owym... Kane w niczym ich nie przypomina. Gdzie oni się poznali?

- Ma pan dwie ręce?

- No tak - odparł, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- I dwie nogi?

- Jak widać.

- Dwie ręce i dwie nogi plus to - rzekła, rzucając w jego kierunku zdjęte z półki opakowanie psiego jedzenia - to wszystko, czego panu potrzeba. W schronisku

bardzo dbamy o naszych podopiecznych, ale najpierw staramy się znaleźć każdemu zwierzęciu zastępczą rodzinę.

- Zastępczą rodzinę? Dla psów?

- Tak. A ponieważ ten psiak najwyraźniej zdążył się do pana przywiązać, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby na razie z panem został. U pana będzie mu na pewno lepiej niż w schronisku. To nic wielkiego, wystarczy dawać mu jeść, wyprowadzać na spacer i czekać, aż zgłosi się właściciel.

- Proszę nie żartować. Nie jestem przyzwyczajony do psów. Znowu ten ton. Ton człowieka z kompletnie innego świata. Z innych społecznych sfer. Z kręgów ludzi z dużymi pieniędzmi. Wszystko o tym świadczy - sposób, w jaki mówi, jak jest ubrany. Dlaczego ktoś taki przyjeżdża do Chapel Ridge w stanie Indiana choćby na dzień dłużej, niż koniecznie musi?

Podczas ostatniej wymiany zdań mały przybłęda podbiegł do Kane'a i siedział teraz u jego stóp z podniesioną w niemym oczekiwaniu mordką.

- On jest najwidoczniej innego zdania - zauważyła.

- To tylko pies, co on tam rozumie. To pani prowadzi salon dla psów, niech pani się nim zajmie.

- Nie ma mowy. Jestem zajęta przygotowaniem do wesela.

- O ile wiem, to nie pani wychodzi za mąż.

Nie, nie wychodzi za mąż i w najbliższym czasie nie zamierza wdawać się w romanse, nawet przelotne, bo mogłyby jej przeszkodzić w realizacji pielęgowanego od lat marzenia. Roześmiała się.

- To, że nie ja wychodzę za mąż, w niczym nie zmniejsza moich obowiązków związanych ze ślubem i weselem - odparła.

Kane przyjrzał się jej uważnie.

- To tylko pies. Nie zabierze pani...

- Ani panu. Da pan sobie radę. - Susannah niecierpliwie przeczesła ręką włosy. Nie, żadną miarą nie może brać sobie na głowę dodatkowego kłopotu.

Wzięła z półki obrozę ze smyczą i położyła na torbie z jedzeniem.

- Może pan od razu to mu włożyć i wyprowadzić na spacer.

- O czym pani mówi?

- Nie widzi pan, że nasz miły Łazęga musi coś załatwić? zapytała, wskazując psa, który od paru chwili niecierpliwie kręcił się po pomieszczeniu.

- Może poczekać.

- Jak pan chce. Ale może panu potem zabrudzić samochód.

Kane nie od razu pojął, o czym mowa, ale gdy zrozumiał, skrzywił się z obrzydzeniem.

- Tylko nie to. Niech mu pani każe, żeby poszedł się załatwić.

Susannah parsknęła śmiechem.

- W tej sprawie niczego nie mogę mu kazać. Ale pan może go wyprowadzić.

- Dlaczego ja? Nie umie chodzić?

Susannah tylko pokręciła głową. Sama włożyła psu obrozę, a koniec smyczy wetknęła Kane'owi do ręki.

- Proszę użyć swoich dwóch nóg do chodzenia, a Łazęga zaraz pojmie, co ma robić.

- A pani? - zapytał.

- Ja mam swoją robotę. - Ruszyła w głąb salonu.

- Proszę nie odchodzić!

Obróciła się na pięcie i znowu omal nie parsknęła śmiechem. Wysoki, dobrze zbudowany Kane stał jak wmurowany i miał bezradną minę.

- To bardzo proste. Przecież umie pan chodzić, a pies pójdzie za panem. No i wystarczy kawałek trawnika, żeby instynkt mu podpowiedział, co ma robić. Tam koło parkingu jest trochę trawy. Proszę spróbować. Przysięgam, że za pięć minut będzie po wszystkim.



Kane skrzywił się, ale w końcu posłuchał jej rady i nieco sztywnym krokiem wyprowadził psa na wskazane miejsce. Susannah obserwowała ich przez okno, tłumiąc głośny śmiech.

Po paru minutach Kane przyprowadził bardzo zadowolonego z siebie Łazęgę z powrotem do salonu.

- Czy teraz weźmie go pani? - poprosił.

- Dlaczego? Świetnie pan sobie radzi. W końcu jest pan na wakacjach, sam w chacie pod lasem. Będzie pan miał towarzysza.

- Nie potrzebuję towarzystwa - odburknął.

Po powrocie ze spaceru Łazęga dosłownie przykleił się do kolan Kane'a. Tymczasem przed salonem zatrzymał się samochód z siedzącym obok kierowcy złotym retrieverem.

- Nic na to nie poradzę. Właśnie przyjechała moja następna klientka. Albo mi pan pomoże wykąpać retrieverkę i zawiązać jej we włosach kokardę, albo nie pozbędzie się pan najlepszego przyjaciela.

- Zawiązać kokardę? Psu?

- Ona jest dziewczynką i chce ładnie wyglądać. Tylko ja będę potem wyglądać jak nieszczęście - dodała Susannah, zdejmując z bluzki kłak psich włosów. Już teraz musiała okropnie wyglądać.

Oczywiście nic sobie nie robi z tego, co Kane Lennox pomyśli o jej wyglądzie. No, może to nie całkiem prawda. Bo była jednak trochę niezadowolona, że widzi ją rozczochraną i zaniedbaną. A zarazem była na siebie zła, że o tym myśli.

- Czy... - zawahał się. - Jeżeli pomogę pani wykąpać retrieverkę, to uwolni mnie pani od... od tego kłopotu? - zapytał, przestępując z nogi na nogę.

- Mówi pan serio? - zdumiała się Susannah. Kane odłożył torbę z psim jedzeniem.

- Co w tym dziwnego?

- Jakoś trudno mi uwierzyć w szczerą taką propozycję ze strony człowieka, który usiłuje pozbyć się za wszelką cenę swego najlepszego przyjaciela.

- Proponuję czysto biznesową transakcję. Coś za coś.

Susannah zmierzyła wzrokiem jego nieskazitelnie czyste odzienie i pomyślała, że fajnie będzie zobaczyć tego schludnego pyszałka opryskanego brudną pianą psiego szamponu.

Wyciągnęła rękę na zgodę, ale kiedy Kane ścisnął jej dłoń, ku swemu zaskoczeniu poczuła, jakby przepłynęła przez nią elektryczna iskra. On miałby się jej podobać? Ktoś taki?

Wykluczone. Absolutnie nie jest w jej typie. Po pierwsze wygląda na faceta z wyższych sfer, a po drugie nie chce powiedzieć ani kim jest, ani skąd przyjechał. Susannah wolała ludzi szczerych i otwartych.

Co nie znaczy, że nie jest gotowa przyjąć jego oferty. Skoro chce jej ulżyć w pracy, to proszę bardzo, ona nie ma nic przeciwko temu.

- Zgoda, panie Lennox. Ale pod warunkiem, że dotrzyma pan swojej części umowy.

Kane lekko się uśmiechnął.

- Zapewniam panią, że zawsze dotrzymuję umów, zwłaszcza jeżeli sam mogę na tym zyskać.

Z uśmiechem było mu wyjątkowo do twarzy, zauważyła. Jednocześnie zadała sobie pytanie, czy skorzystanie z jego pomocy na pewno wyjdzie jej na dobre.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Chyba zwariowałem.

Kane wysunął swą propozycję pod wpływem nagłego impulsu. Normalnie każdy jego krok był dokładnie przemyślany i miał wyraźnie określony cel. Przez całe życie funkcjonował jak samochód marki mercedes z idealnie wyregulowanym silnikiem. Nigdy nie podejmował pochopnych decyzji i nigdy nie doznawał porażek.

Skąd przyszło mu do głowy, by ni stąd, ni zowąd zaproponować pomoc przy kąpaniu jakiegoś psiska? W dodatku nie lubił psów. Tak mu się w każdym razie wydawało. Nigdy nie miał do czynienia z domowym zwierzakiem, wiedział jednak, że przybłęda nie jest mu do niczego potrzebny i musi się go za wszelką cenę pozbyć. A tymczasem stał nad wanną z rękami po łokcie zanurzonymi w spienionej wodzie nad stanowczo zanadto przyjacielskim, jak na jego gust, płowym psikiem.

Zerknął spod oka na stojącą obok dziewczynę, która szorowała psi łeb, przemawiając czule do jego właściciela. No jasne, pomyślał, to ona doprowadziła do tego, że stracił głowę i zaproponował coś tak idiotycznego. Susannah Wilson od pierwszego spotkania sprawiła, że przestał rozsądnie myśleć. W dodatku znajdował się w obcym środowisku, wytracony z normalnego rytmu.

Tak, to sprawka tej ładnej kobiety. Tego, jak się porusza, jak mówi, jak odgarnia pasmo włosów za ucho i sposobu, w jaki na niego patrzy - jakby był jakimś podejrzanym typem, który podstępnie wdarł się do jej miasta w jakichś niecnym celach.

To połączenie urody z brakiem zaufania dodawało jej uroku i budziło w nim coraz większe zainteresowanie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spotkał kobietę, która tak by go intrygowała.

Miał w swoim życiu do czynienia z całym legionem kobiet. Jednakże te, które spotykał w kręgach, w jakich normalnie się obracał, były z reguły zbyt wymuskane,

wręcz nieskazitelne. Natomiast Susannah Wilson była jakby nie całkiem wykończona, przypominała nieoszlifowany jeszcze i nie oprawiony brylant. Była...

Jedyna w swoim rodzaju. Intrygująca.

- No, podobno miałeś mi pomagać! Miałeś ją trzymać, żeby się nie kręciła.

- Łatwo ci mówić. Jest śliska jak węgorz.

Susannah ze śmiechem skróciła ograniczający swobodę ruchów kapanego zwierzęcia pas przymocowany z jednej strony do brzegu wanienki, a z drugiej do psiej obroży.

- Nigdy nie miałeś domowego zwierzaka?

- Nie, nigdy.

- Nawet chomika?

- Nie - odburknął Kane. - Coś takiego nie pasowałoby do stylu życia mojej matki.

Poniewczasie ugryzł się w język, widząc dziwne spojrzenie, jakim go obrzuciła. Trzeba było skłamać, powiedzieć, że hodował najrozmaitsze domowe zwierzęta. Cóż, kiedy umiejętność mijania się z prawdą była mu tak samo obca jak sztuka rozpalania w kominku. Najlepiej będzie trzymać buzię na kłódkę. Niestety, pomijając chwile, kiedy patrzyła na niego, jakby był wariatem albo przestępcą, Susannah swoim przyjaznym zachowaniem prowokowała równie przyjazne reakcje.

Na jej twarzy malowała się pogoda, chętnie się śmiała, a z jej zielonych oczu wodziła ciekawość. Było to tak pociągające, że Kane przestał się mieć na baczności, zapomniał o swoim nowojorskim życiu i zapragnął poznać tę dziwną magiczną siłę, jaką Susannah zdawała się posiadać, i która pozwalała jej jednym słowem czy ruchem uspokajać zwierzaki pod jej opieką.

Czemu nie połączyć swoich wakacji z małym flirtem? - pomyślał Kane, śledząc spod oka zgrabną postać swej towarzyszki. W dodatku Susannah jest pierwszą druhną, a on pierwszym drużbą, są więc zobowiązani podczas wesela spe-

dzić ze sobą sporo czasu. Mogłoby ich połączyć coś więcej niż kilka wspólnie przetańczonych tańców...

Zajęty swym pomysłem, zapomniał o psie, który, korzystając z nieuwagi nadzorca, otrząsnął się energicznie, opryskując go wodą.

- Jak nie będziesz uważał, skończy się na tym, że i ciebie będę musiała wsadzić do wanny - zakpiła Susannah.

- Ani mi się waż.

Dziewczyna skierowała prysznic w jego stronę.

- Podczas pracy łatwo o wypadek.

- To ma być zemsta za dzisiejszy ranek?

- Jaka zemsta? - odparła z niewinną miną. - Chciałam ci tylko uprzytomnić, że to ja kontroluję przepływ wody - to mówiąc, skierowała spryskiwacz w jego stronę - więc lepiej mi się nie narażaj.

Dziewczyna budziła w nim coraz większe zainteresowanie. Wszystko mu się w niej podobało - śliczna pogodna twarz, wesołe usposobienie no i nieskazitelna figura, którą kolejny raz zlustrował. Nawet w swoim roboczym stroju złożonym z dżinsów i koszulki w niczym nie ustępowała znanym mu z Nowego Jorku popularnym modelkom. Wręcz biła je na głowę bezpretensjonalną naturalnością. Kane'owi krew coraz szybciej krążyła w żyłach.

- Jesteś pewna, że to ty kontrolujesz przepływ wody? - Zanim się zorientowała, co się święci, zrobił szybki krok w prawo, wyrwał jej prysznic z ręki i skierował na nią strumień wody.

- Hej! - wrzasnęła Susannah. - To nie było fair.

- Nie słyszałaś, że w biznesie i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone?

Rzuciła się na niego, usiłując odzyskać źródło wody, i nagle znaleźli się tuż obok siebie. Kane zdał sobie sprawę z bliskości jej ciała i lekko rozchylnych ust. Wystarczyło wyciągnąć ręce i wziąć ją w ramiona.

- Oddaj to - zażądała.

- Sama sobie weź.

Susannah przechyliła się w prawo. Kane uchylił się. Ich ciała zderzyły się ze sobą. Oboje zamarli.

W ciszy, jaka zapadła, zegar na ścianie głośno odmierzał sekundy. Susannah przełknęła ślinę. Kane'owi prysznic wyśliznął się z ręki i z pluskiem wpadł do wanny. Zapominając o bożym świecie, już miał wykonać następny ruch, kiedy pies, zorientowawszy się, że ludzie przestali się nim zajmować, wstał na cztery łapy i otrząsnął się z wody, opryskując wszystko dokoła fontanną mydlanej piany.

Kane odskoczył. Susannah szybko nachyliła się nad psem.

- Lepiej wracajmy do pracy - mruknęła.

- Masz rację.

Wiedział jednak, tak jak i ona, że nastąpiło coś ważnego i w ciągu minionych paru sekund ich przypadkowa znajomość uległa trudnemu do nazwania przeobrażeniu.

- Dlaczego wybrałaś taki sposób zarabiania na życie? - zapytał, byle coś powiedzieć. Zajmij się tym, co masz do zrobienia, upomniał się w duchu. W przeciwnym razie nie tylko skończysz, ociekając brudną wodą, ale na dodatek zirytujesz dziewczynę, a ona odeśle cię do domu razem z psem. - Prowadzenie takiej myjni nie figuruje na liście obiecujących zawodów.

Susannah wyraźnie się najeżyła. O cholera!

- Przepraszam, nie chciałem...

- Nie ma za co. Zresztą to tylko tymczasowe zajęcie. Już w szkole średniej zaczęłam wyprowadzać cudze psy na spacer, żeby zarobić na drobne wydatki, i tak poszło. Zanim się zorientowałam, do czego to wszystko zmierza, byłam już właścicielką salonu dla zwierząt.

- To twój salon?

- Uhm. Wszystko należy do mnie, razem z pianą - przytaknęła ze śmiechem. Jego uznanie dla niej wzrosło.

- To imponujące. Widzę, że umiesz sobie radzić. Prowadzenie samodzielnego przedsiębiorstwa to nie byle co, zwłaszcza dla kobiety.

- E tam, to nic takiego.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, chcąc jedynie przyciągnąć jej uwagę, lecz efekt był taki, że zakreśliło mu się w głowie. Kiedy ostatni kontakt z kobietą przyprawił go o równie silne doznanie?

To było siedem lat temu. A kobietą była Rebecca Nichols, studentka, którą poznał na zajęciach z etyki biznesu. Rebecca nie pochodziła z kręgów dawnych ani nowych bogaczy. Pochodziła z rodziny zwyczajnych amerykańskich zjadaczy chleba. Chodzili ze sobą przez pół roku. Przez sześć niezwykle, nasyconych namiętną miłością miesięcy. Po raz pierwszy w życiu spotykał się z dziewczyną, której nie wybrał mu ojciec. Niemniej Kane miał szaloną nadzieję, że Rebecca znajdzie w oczach Elliotta uznanie. Że ojciec zaakceptuje jego samodzielny wybór, doceni zdolność syna do wyznaczenia sobie własnej drogi. Były to przecież cechy charakteru, które zawsze pochwalał u swoich pracowników. A tymczasem brutalnie zdławił je u własnego syna.

Kane i Rebecca byli ze sobą szczęśliwi; nic nie zakłócało ich idealnego i zgodnego, pełnego radości romansu. Aż do dnia, gdy Elliott, dowiedziawszy się, że jego syn chce się związać z osobą „nie do przyjęcia”, zaproponował rodzicom jego wybranki okazałą sumę i przekonał ich, że za granicą córka otrzyma znacznie lepsze wykształcenie.

Kane zrozumiał daną mu przez ojca naukę. W oczach Elliotta syn nie okazał odwagi ani zdecydowania, a jedynie zwyczajny upór i głupotę. Zwłaszcza w sprawach męsko-damskich. Każde odstępstwo od wyznaczonych przez rodzinę planów będzie surowo karane. Rodzinne przedsiębiorstwo i prestiż rodziny mają pierwszeństwo przed wszystkim - nawet przed osobistym szczęściem, Kane'owi pozwolono dokończyć studia na Uniwersytecie Northwestern, ale dopiero gdy przyrzekł słuchać we wszystkim rodziny. A jaka go spotkała kara? Ojciec

wyzaczył mu wybranego przez siebie współlokatora, a raczej opiekuna, który miał pilnować, by Kane dotrzymał przyrzeczenia.

I oto teraz, po raz pierwszy od tylu lat, poczuł na nowo ową przemożną falę emocji. Autentyczny zachwyt. I pożądanie. A wszystkie te emocje obudziła w nim kobieta, jakiej nigdy nie spotkał w swoim środowisku. Było to rozkoszne uczucie. Spostrzegł, że Susannah patrzy na niego. Czy i ona czuje to co on?

Nie. Patrzy na niego pytającym wzrokiem, czekając, by się odezwał. Kane wrócił z wysiłkiem do rzeczywistości, przypominając sobie, że przyjechał tutaj tylko na kilka dni odpoczynku, a nie po to, by odmienić swoje życie.

- Mało komu udaje się to co tobie - zapewnił ją. - Prawie połowa małych przedsiębiorstw plajtuje przed upływem pięciu lat. Powinnaś być z siebie dumna, Susannah ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

- Skąd wiesz takie rzeczy?

Niech to szlag! Znowu chlapnął o słowo za dużo. Musi trzymać język za zębami.

Nie, nie może jej powiedzieć, kim naprawdę jest. Nie może się przyznać, że jest jedynym przedstawicielem czwartego pokolenia właścicieli najpotężniejszej firmy importującej szlachetne kamienie. Członkiem rodziny, której nazwisko figuruje na liście pięciuset największych światowych potentatów. Człowiekiem mającym dość pieniędzy, by wykupić dziesięć takich jak to miasteczek i wyłożyć ich ulice tysiąc dolarowymi banknotami.

Wiedział, co by się stało, gdyby jej to wszystko powiedział. Popatrzyłaby na niego tak jak wszyscy: z nabożnym podziwem. Przestałaby widzieć w nim po prostu Kane'a. A on po raz pierwszy w życiu zapragnął, by jakaś kobieta zobaczyła w nim mężczyznę.

Normalnego zwykłego mężczyznę, który nie budzi w nikim żadnych nadzwyczajnych oczekiwań. Którego widok nie kojarzy się z kamerdynerami i limuzynami, słowem, z pieniędzmi.



- Lubię sobie poczytać biznesowe czasopisma - odparł. - To znaczy, po pracy. No wiesz, żeby wiedzieć, czego można się spodziewać.

- To rozumiem - zareagowała z miłym uśmiechem. - Wiesz, czego chcesz i jesteś gotów ciężko pracować, żeby to osiągnąć, czy tak?

- No właśnie.

- To tak jak ja. - Znowu się uśmiechnęła. - Kto by pomyślał, że mogę mieć coś wspólnego z napotkanym na trawniku intruzem.

- W dodatku chodzącym bez butów.

Roześmiała się wesoło.

- Normalnie nie zadaję się z bosonogimi facetami.

- Zapamiętam to sobie... - Nie dokończył, bo płowowłosa suczka znowu zaczęła się otrząsa, opryskując cały pokój fontannami wody.

Kane z cichym przekleństwem odskoczył do tyłu.

- Co ten pies wyprawia? - zawołał z pretensją w głosie.

- Trzeba ją było lepiej trzymać.

- A niby co ja robię? Ona po prostu nie chce mnie słuchać. - Popatrzył na rozbawioną jego niepowodzeniem dziewczynę. - Sama spróbuj ją upilnować!

- Dobrze, zamienimy się miejscami. Ja ją potrzymam, a ty zastąpisz mnie.

- Że co?

- Będiesz ją szorował - odparła, rzucając mu butelkę z psim szamponem.

- No nie. Nie to miałem... - Kane popatrzył bezradnie na butelkę, potem na Susannah, na koniec na psa. - Nie ma mowy, nie mam pojęcia o myciu psów.

- Umawialiśmy się, że mi pomożesz, ale jak dotąd nie miałam z ciebie wielkiego pożytku. - W jej spojrzeniu było wyzwanie. - Zresztą zapewniam cię, że Dakota należy do moich najspokojniejszych klientek. Jest naprawdę łagodna.

- Ona łagodna? - zdziwił się Kane. Popatrzył na Dakotę, która odpowiedziała mu równie niechętnym spojrzeniem. Wziąwszy głęboki oddech, nalał sobie na rękę trochę szamponu. - No dobrze, od którego końca mam zaciąć?

- Zaczynj od karku. Wcieraj głęboko pianę w sierść palcami do samej skóry. Jakbyś robił jej masaż. Pieski też lubią, żeby im okazywać czułość.

Kane skrzywił się. Gdyby już musiał robić komuś masaż, to z dwojga złego wolałby masować człowieka. A najchętniej stojącą obok osobę rodzaju żeńskiego.

Zamiast myśleć o głupstwach, zabierz się do roboty. Masowanie psa to jedyny sposób, żeby się pozbyć przybłedy. Kane ze zrezygnowaną miną pochylił się nad wanną i zanurzył palce w gęstą sierść, która okazała się nieoczekiwanie jedwabista.

Czując drapanie na karku, Dakota podniosła łeb i - przysięgłby - uśmiechnęła się do niego całym pyskiem. Kane zerknął na Susannah, która ciekawie mu się przyglądała. Ze zdwojoną energią zabrał się do pracy.

Co za wariactwo: Kane Lennox szorujący psa!

Zarazem ani na chwilę nie przestawał zerkać na krzątającą się obok niego blondynkę. Susannah zaczęła tymczasem nucić pod nosem szlagier z lat sześćdziesiątych, tanecznym ruchem poruszając biodrami. Robiła to z niezwykłą naturalnością, nie popisywała się. Nigdy nie spotkał nikogo podobnego.

- Słyszałem, że ludzie też lubią, żeby im okazywać czułość - mruknął pod nosem.

- Uhm. - Susannah przestała nucić i pochyliła się nad Dakotą. - Jeszcze tylko chwila, ślicznotko, zaraz będzie po wszystkim.

Jednakże Kane'owi ani było w głowie myśleć teraz o psach. Cała jego uwaga skupiła się na dziewczynie. Za parę dni odbędzie się ślub, a to oznacza, że on i Susannah spotkają się w kościele, a potem będą ze sobą tańczyć na weselu. Będzie mógł wziąć ją w ramiona.

Ale czy musi czekać do wesela? Mógłby ją zaprosić...

W kieszeni Kane'a zadzwoniła komórka.

- Chcesz, żebym skończyła? - zapytała Susannah.

- Nie odbieram. W końcu jestem na wakacjach. Widocznie nie wszyscy przyjęli to do wiadomości. - Sekretarka miała przejmować wszystkie telefony, ale

najwyraźniej coś umknęło jej uwadze. Albo to, albo ojciec odkrył jego nieobecność. Tak czy inaczej, przez najbliższe dni mogą o nim zapomnieć.

Ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie. A najważniejszą z nich jest Susannah Wilson.

- Wracając do czułego traktowania bliźnich... nie wiesz, czy jest w mieście jakaś restauracja z dobrym jedzeniem? Dla ludzi - dodał z uśmiechem. - W jedzenie dla psów zostałem już zaopatrzony.

- W Corner Kitchen na rogu Main i Newberry dostaniesz świetne jedzenie na wynos. Właściciel robi wszystko sam, od truskawkowego dżemu po tłuczone ziemniaki. Żadne tam wyszukane przysmaki, ale...

- Dla mnie to i tak egzotyka - zaśmiał się Kane.

- Tłuczone ziemniaki i dżem z truskawek to dla ciebie egzotyka?

Kane pochylił głowę i zajął się splukiwaniem z psa resztek szamponu. Ale z niego osioł! Dobrze przynajmniej, że nie pracuje w CIA. Byle pięciolatek po paru dniach odkryłby, że ma do czynienia z tajnym agentem.

- Uhm, no wiesz, jadam w barach szybkiej obsługi, a tam dają tylko gotowe sklepowe jedzenie. Domowe jedzenie to dla mnie wyjątkowa frajda. Nie jadłem takich rzeczy, odkąd byłem mały.

- Nie było w domu nikogo, kto lubił gotować?

- Owszem, był. - Kucharka, która na polecenie rodziców przyrządzała wyszukane potrawy. A potem Kane korzystał wyłącznie z pięciogwiazdkowych restauracji, w których nie podawano truskawkowego dżemu ani słodkich ziemniaków. - A ty? Masz na dziś jakieś kolacyjne plany?

- Dziękuję, ale dziś wieczorem jestem zajęta.

Natychmiastowa odmowa podziałała na Kane'a jak zimny prysznic. Chyba jeszcze żadna kobieta nie odrzuciła jego zaproszenia, w każdym razie nie tak obcesowo. Widać i na takie skutki pełnej anonimowości powinien się przygotować.

Niemniej odrzucenie jest także czymś odświeżającym. Stanowi swego rodzaju wyzwanie. Bo trafił wreszcie na kobietę, która nie wie, kim on jest, kobietę, której nie interesują jego pieniądze, bo najzwyczajniej w świecie nie ma o ich istnieniu pojęcia. Większość kobiet, z którymi dotąd się umawiał, patrząc na niego, widziała przede wszystkim stosy zielonych banknotów.

Marzeniem Kane'a było spotkać kobietę, zresztą nie tylko kobietę, ale w ogóle osobę, która miałaby do niego prawdziwie osobisty stosunek, nie zabarwiony myślą o jego fortunie. Podczas studiów zdarzyło mu się kogoś takiego spotkać, lecz ojciec szybko położył tej znajomości kres - oczywiście z pomocą pieniędzy. Ojciec, od którego Kane oczekiwał, że pozwoli mu się do siebie zbliżyć, miał dla syna jedynie słowa surowej krytyki. No i pieniądze. Teraz zapewne szaleje w Nowym Jorku z powodu jego zniknięcia. Wcale nie dlatego, że się o niego martwi, ale ponieważ stracił nad nim kontrolę.

Kane natomiast ma dzięki tej ucieczce wolną rękę i może swobodnie flirtować z Susannah Wilson. Jeżeli przez najbliższe kilka dni ta dziewczyna zechce się z nim spotykać, zrobi to nie dlatego, że jest Kane'em Lennoxem ani w nadziei na to, że przed wyjazdem obsypie ją brylantami. Jeżeli się z nim umówi, będzie to oznaczało, że zdobył jej sympatię.

Owładnęło nim przemożne pragnienie, aby tego dokonać. Dawno zapomniane pragnienie, w które zgoła przestał wierzyć.

Tymczasem pies przybłąda trącił go nosem w kolano i cicho zaszczekał.

- Czyżbyśmy mieli następnego kandydata do kąpieli? - spytała żartobliwie.

- O nie, ta jedna kąpiel mi wystarczy.

- Świetnie się spisałeś - pochwaliła go. - Popatrz, jaka Dakota jest czyściutka.

Może zaproponuję ci posadę.

- Bardzo dziękuję, ale już mam posadę.

- Co robisz?

- Och, pracuję w handlu biżuterią. - W pewnym sensie była to prawda. Nie musi jej się zwierzać z tego, że wartość sprowadzanych przez jego firmę brylantów i innych kamieni szlachetnych sięga miliardów dolarów.

- Naprawdę? W sklepie z biżuterią?

- Coś w tym rodzaju.

Tymczasem Dakota została ostatecznie wyjęta z wanny. Suczka znowu próbowała się otrząsnąć, lecz Susannah w porę ją uspokoiła, po czym puściła na nią strumień ciepłego powietrza. Po paru minutach Dakota była suchutka.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do salonu wpadła z impetem kilkunastoletnia dziewczyna. Rzuciwszy na krzesło wypchany plecak, podeszła do siedzącego w klatce pudła.

- Cześć, Suzie, przepraszam za spóźnienie - rzuciła przez ramię. - Cześć, Dakota! Jak się masz, Piękniśiu! - powitała oba psy, po czym uchyliła drzwiczki klatki pudła na tyle, by móc go pogłaskać. Dopiero na końcu raczyła skinąć głową Kane'owi, jakby w hierarchii żywych stworzeń przysługiwało mu poślednie miejsce.

- A to kto?

- To Kane. Poznajcie się. Kane, to Tess.

Kane chciał się z nią przywitać, lecz dziewczyna kucnęła tymczasem przed bezpiecznym spanielem.

- To twój pies? - zapytała.

- Nie, nie mój.

Pies, który jakby się zorientował, że chodzi o niego, przydreptał do nóg Kane'a, podniósł mordkę i popatrzył mu w oczy.

- On jest chyba innego zdania - zauważyła Tess. Susannah zdążyła tymczasem zaprowadzić wysuszoną Dakotę do pokoju w głębi salonu, gdzie odbywały się dalsze kosmetyczne zabiegi. Odetchnęła z ulgą. Bezpośrednie sąsiedztwo Kane'a było stanowczo zbyt stresujące. Kiedy stali nad wanną, kąpiąc psa, musiała

zmobilizować wszystkie siły, aby się nie zdradzić, jak silnie działa na nią ten dziwny obcy facet. Co jej przychodzi do głowy?

- Tess, aniołku, mogłabyś skończyć za mnie z Dakotą i popilnować salonu? Ma się zjawić jeszcze jeden klient.

- Jasne. - Włożywszy firmowy fartuch, Tess udała się do drugiego pomieszczenia, aby przejąć Dakotę z rąk Susannah. - Założę się - dodała - że masz na głowie sto nie swoich spraw do załatwienia.

- Tylko dziewięćdziesiąt dziewięć - uśmiechnęła się Susannah.

- Musisz nauczyć się mówić „nie”. Na lekcjach psychologii stale wbijają nam to do głowy.

- Może to dobry sposób, kiedy masz do czynienia z napalonym nastolatkiem, ale nie z moją siostrą. Ona...

- Potrzebuje pomocy. A ty nie potrafisz jej odmówić. - Tess pogłaskała Susannah po rękę. - Wiem, powinnam szanować starszych i uważać, co mówię.

- Ale masz rację. - Susannah ciężko westchnęła.

Może z czasem Jackie nauczy się samodzielności i przestanie przerzucać swoje obowiązki na starszą siostrę. Susannah zdawała sobie sprawę, iż nie powinna we wszystkim jej wyręczać, ale jak przychodziło co do czego, nie potrafiła się postawić. Zbyt długo musiała młodszej siostrze zastępować matkę i ojca, by z dnia na dzień wyrzec się opiekuńczych instynktów. Zdjęła fartuch i powiesiła go na wieszaku.

- No, muszę lecieć. Wpadnę wieczorem do schroniska i wyprowadzę psy na spacer.

- Nie ma sprawy. Nastawię Rolling Stonesów i urządzimy sobie z Dakotą i Elegantem odjazdową balangę - z wesołym uśmiechem zapewniła ją Tess.

Wchodząc do pierwszego pomieszczenia, Susannah zastała w nim czekających na nią Kane'a i bezdomnego psa.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała. - Dobrze się spisałeś.

- Wywiązałem się ze swojej części umowy. Teraz kolej na ciebie. - To powiedziawszy, wręczył jej obrożę ze smyczą oraz torbę psiego jedzenia. - To ja dziękuję za zdjęcie mi kłopotu z głowy.

- Nic nie szkodzi, bardzo mi miło - rzekła z uśmiechem.

Ich oczy spotkały się na moment. Kane nie był pewien, czy mówiąc to, miała na myśli psa, spotkanie z nim czy może jeszcze coś innego.

Gdyby zdołał się z nią umówić, jego wakacje stałyby się szczególnie atrakcyjne. Susannah jest piękną, pełną temperamentu kobietą, która szalenie go zainteresowała. Parę dni spędzonych w jej towarzystwie nadałoby pobytowi w Chapel Ridge dodatkowego uroku i pozwoliło lepiej wykorzystać chwile oderwania od problemów jego prawdziwego życia.

Kiedy jednak, zamknąwszy drzwi salonu, ruszył w kierunku parkingu, poczuł, że coś ociera się o jego nogi. Opuściwszy wzrok, zobaczył białobrazowy włochaty grzbiet beapńskiego psa, drepcącego wiernie u jego boku. A więc wszystko na nic. Nie uda mu się tak łatwo pozbyć chodzącego na czterech łapach kłopotu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jesteś prawdziwym aniołem.

Susannah roześmiała się.

- Wcale nie. Po prostu pomagam Jackie.

Energiczna Kim Sheldon podparła się pod boki i z dezaprobatą pokręciła głową.

- No właśnie, tak wygląda całe twoje życie - oświadczyła, zanurzając rękę w jednym z kartonów, z którego wyjęła płaską szklaną czarę i postawiła ją na stole. - Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego przyjechałaś do mnie, zamiast brać udział w panińskim wieczorze? To w końcu jeden z obowiązków pierwszej drużyny.

- No wiesz, nie mam z resztą dziewcząt wiele wspólnego.

- A po co masz mieć z nimi coś wspólnego? Wielu kobietom wystarczy popatrzeć razem na seksownego rozebranego faceta, wypić parę drinków i pośmiać się, żeby mówić potem o przyjaźni do grobowej deski - oświadczyła ze śmiechem rubaszna Kim.

- Jackie mnie tam nie potrzebuje. Potrzebowała mnie do tego. - Susannah wzięła do ręki torebkę szklanych kulek, wysypała je do czarę i zaczęła w niej umieszczać błękitno-białe sztuczne kwiatki, a na zakończenie opasała czarę srebrzystą wstążką. Kiedy sięgała po następną czarę, Kim przytrzymała ją za rękę.

- Podobno Jackie prosiła cię tylko, żebyś odebrała dekoracje, a nie żebyś je układała. Chyba celowo robisz wszystko, żeby tam nie iść.

Susannah z westchnieniem opadła na krzesło.

- Nie umiem nawiązać kontaktu z przyjaciółkami Jackie. Czuję się między nimi jak piąte koło u wozu.

- Ale dlaczego? Nie są ani mądrzejsze, ani bardziej wykształcone niż ty.

- Ale ja zarabiam na życie myciem i czesaniem psów. Chyba nie nazwiesz tego wielkim osiągnięciem?



Kim otoczyła ją ramieniem.

- Twoje psy są na pewno innego zdania. Ich właściciele nie mogą się ciebie chwalić. Pomyśl, czego dokonałaś. Zabrałaś się do pracy jako jedenastolatka, a dzisiaj prowadzisz własny salon, nie masz ani centa długów, a klienci pchają się do ciebie drzwiami i...

- A tymczasem przyjaciółki Jackie powychodziły za mąż za lekarzy albo prawników, jeżdżą nowymi samochodami i opowiadają sobie o najmodniejszych fasonach ciężowych sukienek. Nie oszukujmy się, Kim. Jestem po prostu przysłowiową starą panną. - Za każdym razem, kiedy próbowała porozmawiać z przyjaciółkami siostry, w pokoju zapadała krępująca cisza. Susannah miała poczucie, że jeszcze nawet nie zaczęła smakować życia, że chcąc coś naprawdę przeżyć, musi uciec z tego zamkniętego małomiasteczkowego świata.

- Przyjaciółki Jackie nie są znów takie okropne.

- Oczywiście, że nie. - Susannah zabrała się do przyozdabiania następnej czarki. - To ja jestem zrzęda. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę.

- I zaczniesz żyć własnym życiem.

- Otóż to. - Susannah popatrzyła z wdzięcznością na Kim. - Długo musiałam czekać na swoją szansę. Teraz, kiedy Jackie wychodzi za mąż...

- Wreszcie poczułaś się wolna.

Susannah skinęła głową.

Kim ponownie położyła rękę na jej dłoni.

- Nie przyszło ci do głowy, że już dawno powinnaś to zrobić? - zapytała.

- Nie rozumiem.

- Zastanów się, Suzie. Twoja siostra ma dwadzieścia dwa lata, jest dorosła.

Powinna od dawna sama odpowiadać za siebie.

Tyle że Susannah nadal czuła się za nią odpowiedzialna. Od ośmiu lat, od śmierci rodziców, odkąd jako osiemnastolatka została jedyną opiekunką swej czternastoletniej siostry, nosiła na ramionach to poczucie niby ciężki zimowy

plaszcz. I chociaż Jackie dawno dorosła, Susannah wciąż nie umiała wyzbyć się przekonania, że lekkomyślna młodsza siostra nadal wymaga jej opieki.

- Masz rację - przyznała.

- Ale myślisz jedno, a potem robisz co innego - zauważyła Kim. - Obiecuj mi, że po weselu przestaniesz jej wreszcie matkować.

- Obiecuję. Zaraz po weselu wyjeżdżam w długą, bardzo długą podróż. Na trzy tygodnie do Paryża. A jak mi się spodoba, kto wie, może zostanę tam na zawsze?

- A już! Ty miałabyś nie wrócić? - parsknęła Kim. - Nie wierzę. Przecież kochasz swoje miasto. I wszyscy cię tutaj kochają.

Susannah wstała i rozpostarła ramiona.

- Chcę poznać świat. Poznać wszystko, czego dotąd nie widziałam.

Kim roześmiała się.

- Musiałabyś najpierw wygrać na loterii, żeby sfinansować swoje marzenia - rzekła trzeźwo.

- Wiem - przyznała Susannah, opuszczając ręce. Ale przynajmniej chcę zrobić pierwszy krok i móc sobie potem przypominać, co zobaczyłam i przeżyłam. To będzie początek. A zebrane doświadczenia pozwolą mi przeżyć kolejne lata mycia psów i oszczędzania na następną wyprawę. - Usiadła i zabrania się do układania kwiatów w kolejnej czarce.

W kieszeni Kim zadzwoniła komórka.

- O rany! - wykrzyknęła, odczytując numer. - To moja mama. Obiecałam zawieźć ją do lekarza. - Kim powiodła wzrokiem po pudłach z dekoracjami, stosach obrusów i serwetek, które należało porozkładać na stołach. Jackie dla oszczędności wzięła to na siebie, a potem scedowała na Susannah. - Strasznie mi przykro, że zostawiam cię samą z całym tym bałaganem.

- Nie przejmuj się. Dam sobie radę.

- Zawsze tak mówisz, moja ty męczennico - Kim szybko uściśnęła przyjaciółkę - ale nie siedź za długo. Zadzwoń wieczorem i jeżeli nadal tu będziesz, wpadnę ci pomóc. Dobra?

- Dziękuję.

Kim wybiegła z sali balowej. W obszernym pomieszczeniu zapadła cisza, tylko od czasu do czasu z sąsiadującej z salą kuchni dobiegały odgłosy krzątania. Miejski hotel w Chapel Ridge był równie skromny jak całe miasteczko, ale ponieważ z jego okien rozciągał się piękny widok na jezioro, chętnie urządzano w nim wesela.

Chcąc oszczędzić sobie wydatków, Jackie i Paul ustalili termin ślubu na połowę sierpnia, tuż przed początkiem sezonu turystycznego. Właściciel hotelu, który był ojcem szkolnego kolegi Jackie, nie tylko wynajął im salę na wesele po obniżonej cenie, ale pozwolił z niej korzystać przez kilka dni przed uroczystością.

Susannah opadła na krzesło i zabrała się energicznie za komponowanie dekoracji. Robiła to taśmowo, ustawiając przed sobą po cztery czarki naraz.

W połowie pracy postanowiła przeliczyć gotowe ozdoby i zdała sobie sprawę, że jeden karton został w samochodzie. Z ciężkim westchnieniem podniosła się z krzesła i wyszła na parking. Gdy jednak otworzyła bagażnik i, objawszy wielką pakę rękoma, spróbowała ją podnieść, ciężki karton zaklinował się i nie dał ruszyć.

- Zdaje się, że potrzebujesz pomocy.

Susannah podskoczyła. Obok niej stał Kane, oparty o maskę wynajętego samochodu. Zamiast bawełnianego podkoszulka miał teraz na sobie uprasowaną jasnoniebieską koszulę, podkreślającą intensywny błękit jego oczu. Susannah na jego widok wstrzymała oddech. Gdyby nie jego irytujący zwyczaj pojawiania się ni stąd, ni zowąd na jej drodze w najmniej odpowiednich momentach, musiałaby przyznać, że jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną.

- Dziękuję, sama sobie... - zaczęła, ale urwała, przypomniawszy sobie niedawne pouczenia Kim. Czy musi brać wszystko na siebie? Udawać, że ze wszystkim sama sobie poradzi? - Tak, chętnie skorzystam z pomocy.

Odepchnąwszy się od maski samochodu, Kane podszedł szybko do bagażnika i już po kilku próbach wydobył z niego ciężki nieporęczny karton. Patrząc na jego zręczne ruchy, Susannah nie potrafiła ukryć podziwu.

- Co w nim jest, do diabła?

- Dwadzieścia pięć szklanych wazoników, dwadzieścia pięć torebek szklanych kulek, sztuczne kwiaty i wstążki.

- Waży, jakby w nim siedziało dwadzieścia pięć słoni - zauważył, chociaż jednocześnie widać było, że dźwiga karton bez wysiłku. - Gdzie mam to zanieść?

- Teraz sama... - Nie dokończywszy zdania, wskazała ręką hotel. Skoro Kane proponuje pomoc, dlaczego nie miałyby dać odpocząć swym spracowanym rękom? - Do sali balowej. Właściciel dał nam kilka dni na urządzenie sali. Przyjaźnił się z moimi rodzicami, a poza tym nie ma na ten okres innych zamówień.

- Dlaczego ty się tym zajmujesz? Czy to nie należy do obowiązków organizatora wesel? - zdziwił się Kane, idąc z nią w stronę hotelu.

- Jackie i Paula nie stać na wynajęcie organizatora. Na wszystkim oszczędzają.

- Ale dlaczego ty to robisz, a nie Jackie albo Paul? Albo matka panny młodej?

To nieoczekiwane pytanie sprawiło jej dojmujący ból. Rodzice nie żyją od ośmiu lat, a ona od ośmiu lat stara się trzymać emocje na wodzy. Tymczasem rzucone przypadkiem słowa „matka panny młodej” uświadomiły jej nagle, jak wiele ona i Jackie w życiu straciły, i jak wiele ominęło ich rodziców.

Odepchnąwszy od siebie smutne myśli, Susannah otworzyła i przytrzymała drzwi hotelu.

- Sala balowa jest na końcu korytarza po prawej stronie - powiedziała, wskazując Kane'owi drogę.

- Rozumiem, że nie otrzymam odpowiedzi.

- Uhm. - Wyminąwszy go, poszła przodem i przytrzymała drzwi. - Postaw karton na stole.

Kane posłusznie postawił karton obok innych, jeszcze nie rozpakowanych, i powiódł wzrokiem po zastawionych szklanymi wazonikami stołach.

- Sama zamierzasz to wszystko poskładać?

- Miało być inaczej, ale tak wyszło, bo druhny urządzają dzisiaj dla Jackie paniński wieczór.

- A pierwsza druhna została w domu jako kopciuszek. Kopciuszek. To prawda, do tej pory jest kopciuszkiem, ale to się wkrótce zmieni.

Nie patrząc mu w oczy, zabrała się do otwierania kartonu.

- Nie lubię tego rodzaju przyjęć. - Kane ściągnął brwi, lecz milczał. Susannah rozłożyła obrus na okrągłym stole i zaczęła go starannie wygładzać. - Myślałam, że pojedziesz prosto do chaty nad jeziorem. Ze swoim nowym najlepszym przyjacielem.

- Musiałem najpierw załatwić parę spraw. No i w drodze powrotnej zobaczyłem ciebie.

Miała ochotę zapytać, jakie inne sprawy miał do załatwienia, ale przypomniała sobie, że ma nie interesować się mężczyznami, więc zamilkła, chociaż instynkt jej podpowiadał, iż tajemniczy przyjaciel Paula ma wiele do ukrycia. Ciekawe, swoją drogą, w jakich okolicznościach jej ciężko pracujący przyszły szwagier poznał, a nawet zaprzyjaźnił się z kimś niewątpliwie należącym do innego świata.

- A gdzie Łazęga? - zapytała.

- Śpi w samochodzie. - Widząc jej baczne spojrzenie, dodał: - Nie bój się, zostawiłem szparę w oknie. Nie jestem kompletnym półgłówkiem.

- Nigdy nie mówiłam, że jesteś. Wyglądasz na bystrego faceta. - Wyjęła z paczki drugą serwetę, ale zanim zdążyła ją rozłożyć, Kane chwycił za drugi koniec i pomógł jej w nakrywaniu kolejnego stołu. - Ty i Paul poznaliście się na uniwersytecie?

- Tak.

- Ty też robiłeś dyplom z historii?

- O nie, z historii byłem noga. - Kane roześmiał się. - Gdyby nie Paul, nigdy bym historii nie zaliczył. Poznaliśmy się właśnie na zajęciach z teorii wojen i strategii.

Susannah usiadła i zabrała się znowu do składania ozdób na środek stołów.

- Ale po co chodziłeś na przedmiot, którego nie lubisz? W dodatku strategia wojenna musi chyba być trudniejsza niż historia powszechna.

- To prawda, ale nie miałem wyjścia, musiałem je zaliczyć. - Usiadł obok Susannah i zaczął jej podawać sztuczne kwiaty i wstążki.

- Ze względu na wojsko?

- Niezupełnie. Raczej z rodzinnego obowiązku. Mój ojciec jest bardzo wymagający, niektóre moje decyzje bardzo mu się nie podobały, więc przynajmniej w wyborze przedmiotów starałem się mu dogodzić.

Ręka Susannah zawisła w powietrzu.

- Musiał być z niego niezły tyran! Ale wtedy miałeś już pewnie osiemnaście lat.

- W mojej rodzinie obowiązki są niezależne od wieku - rzeczowo wyjaśnił Kane. - A porażek w ogóle się nie toleruje. Dlatego byłem tak wdzięczny Paulowi, że pomógł mi poradzić sobie z historią.

- Nie toleruje się porażek? - ze zdziwieniem powtórzyła Susannah. Jej rodzice chwalili dzieci za każde, nawet najmniejsze osiągnięcie. Nigdy ich nie zawstydzali. Nie umiała sobie wyobrazić, jak by się czuła, dorastając w tak surowej rodzinie.

- Paul siedział na zajęciach obok mnie i nie tylko wszystkich rozśmieszał, ale na dodatek znał odpowiedź na każde pytanie. Nie potrafię powiedzieć, ile razy uratował mnie od totalnej klęski.

- To prawda, Paul potrafi być zabawny. Dlatego między innymi cieszy się taką popularnością wśród uczniów.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedział Kane, podając jej torebkę szklanych kulek.

- Pewnie temat pracy dyplomowej też podyktowali ci rodzice?

Kane przekrzywił głowę i popatrzył na nią.

- Zamierzasz grać ze mną w dwadzieścia pytań?

- Nie uważasz, że powinniśmy się lepiej poznać? W końcu na weselu spędzimy ze sobą sporo czasu.

Tłumaczyła sobie w duchu, że chce o nim więcej wiedzieć wyłącznie z powodu ślubu, a jej ciekawość nie ma nic wspólnego z rodzącym się między nimi wzajemnym zainteresowaniem. Z tym, jak Kane na nią patrzy, ani z tym, że kiedy wziął w palce jedwabny kwiatek, zadała sobie pytanie, co by czuła, gdyby te same palce dotknęły jej ciała...

Kane odłożył kwiatek na stół.

- Chodzi ci tylko o to? - zapytał. - Żeby wiedzieć coś o człowieku, z którym za parę dni będziesz musiała spędzić kilka godzin?

...Ani z rodzącym się w głębi serca podejrzeniem, że w jej życiu brakuje kogoś takiego jak on. A gdyby tak zapomnieć na kilka dni o poczuciu odpowiedzialności i trochę się zabawić?

- Oczywiście - odparła. Kłamczucha!

Ręka Kane'a niemal dotknęła jej dłoni.

- Jestem tu na wakacjach - powiedział cicho, jakby zdradzał tajemnicę przeznaczoną tylko dla jej uszu. - Jestem na urlopie i nie mam ochoty wracać myślami do swojej pracy i swojego życia. Przez kilka dni chciałbym być po prostu przypadkowo spotkanym Kane'em.

- No... dobrze.

- Dlatego uważam, jakkolwiek bardzo bym chciał jak najwięcej dowiedzieć się o tobie - ciągnął tym samym przyciszonym, sugerującym tajemne porozumienie

tonem - że byłoby jeszcze ciekawiej i zabawniej, gdybyśmy zachowali swoje sekrety dla siebie. I pozostali dla siebie tylko Kane'em i Susannah. Co ty na to?

Miałyby być tylko nieznajomą o imieniu Susannah? Nie starszą siostrą, na którą spadają wszystkie nudne obowiązki? Ani właścicielką salonu dla psów, pracującą po kilkanaście godzin na dobę, żeby zarobić na wymarzoną podróż?

Po prostu Susannah. Wolna od zobowiązań nieznajoma, która może przeżyć niecodzienną przygodę. Czyż nie na taką chwilę czekała przez całe dorosłe życie?

Na tę myśl ogarnęło ją rozkoszne podniecenie. Byłoby cudownie zapomnieć o wszystkim na kilka dni.

- Cześć, Kane, nazywam się Susannah - oznajmiła z uśmiechem, ceremonialnym gestem podając mu rękę.

Kane uścisnął drobną dłoń Susannah, budząc w jej ciele przyjemne drżenie. Szybko cofnęła rękę, przestraszona intensywnością tego doznania. To coś więcej niż zabawa w udawanie kogoś, kim nie jest. Nie, nie może zapominać o swoim prawdziwym życiu.

- Oj, muszę wracać do roboty - szepnęła, sięgając po kolejny wazonik. Przez twarz Kane'a przebiegł leciutki uśmiech.

- Typowe - zauważył.

- Co takiego?

- Jesteś typowym pracoholikiem. Kategorii A. Czyli takim, który nigdy nie zapomina o obowiązkach. I nigdy nie odpoczywa.

- Chyba mylisz mnie z kimś innym, bo ja... - Zawahała się, zanim wsypała do wazonika kolejną porcję szklanych kulek. - No, może masz trochę racji. Ale mam po temu poważne powody.

- Spróbuję zgadywać. - Powtarzając jej gesty, sięgnął po pusty wazonik, wypełnił go kulkami i ozdobił kwiatkami. - Może chcesz zdobyć światowe mistrzostwo w pielęgnowaniu psów? A może założyć przedsiębiorstwo urządzające wesela?



- Ani jedno, ani drugie - odparła, pokazując mu, jak opasać wstążką gotowy wazonik. - Po prostu... oszczędzam pieniądze na przyszłość.

- To też typowe. Nie zdradzać swoich planów. Trzymać karty przy sobie. Wiem, bo sam taki jestem.

Susannah roześmiała się.

- Nie sędzę, żebyśmy byli do siebie podobni.

- Tak ci się wydaje. - Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

- Po pierwsze, nie mam zwyczaju chodzić boso po cudzych trawnikach.

- Nigdy nie chodziłaś boso po trawniku?

- Oczywiście, że chodziłam. Ale...

- A ja zrobiłem to po raz pierwszy w życiu. - Odstawiwszy gotowy wazonik, zabrał się za następny.

- Nigdy wcześniej nie chodziłaś boso? Jak to możliwe? - zdumiała się Susannah.

- Nie wszyscy żyją tak jak ty.

- Bo co, wychowałeś się w wielkim mieście? W mieszkaniu bez ogrodu?

Omiał nie parsknął śmiechem.

- Coś w tym rodzaju - odparł.

- I dlatego tu przyjechałeś? Do zagubionego w dzikiej głuszy małego miasteczka?

- Przyjechałem tu, ponieważ... - zawahał się - ponieważ tutejsze życie w niczym nie przypomina świata, w którym się normalnie obracam. Jest... idealne.

- I to wszystko? - Jego wyjaśnieniu czegoś brakowało, przypominało układankę pozbawioną istotnego kawałka obrazu.

- Tak, wszystko. - Uśmiechnął się przelotnie. - Wszystko, co Kane jest dziś gotów na ten temat powiedzieć.

- W porządku, Susannah rozumie - odrzekła, odwzajemniając uśmiech.

Zabrali się do pracy, ale słowa Kane'a nie dawały jej spokoju. Powiedział, że są do siebie podobni, jakby znał ją na wylot. A to przecież niemożliwe. Nie mają ze sobą nic wspólnego, pochodzą z dwu zupełnie różnych światów. Kane nie może mieć pojęcia o tym, jak wyglądało jej życie. Nie rozumie, że siłą, która każe jej pracować od rana do nocy, jest chęć wyrwania się z miejsca, do którego on przyjechał z własnej woli, na odpoczynek.

Przez następne pół godziny pilnie pracowali, wymieniając jedynie uwagi na temat mieszkańców miasteczka, okolicznych lasów i jeziora. Czarek z kwiatami przybywało, czas szybko płynął i zanim Susannah zdążyła się obejrzeć, stoły zostały nakryte, a ozdoby ustawione. Sala była gotowa. Komórkowy telefon Kane'a zadzwonił kilka razy, lecz on go nie odebrał, zadowolając się sprawdzeniem, kto dzwoni.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała, masując zeszywniały kark. - Bardzo mi pomogłeś. Oszczędziłam mnóstwo czasu.

- Jadłś kolację?

- Nie, zjem później.

- Pewnie kupisz po drodze jedzenie na wynos i zjesz sama przy kuchennym stole albo przed telewizorem.

- No wiesz... - Chciała skłamać, ale napotkała jego spojrzenie i zmieniła zdanie. Patrzył na nią tak intensywnie, jakby potrafił przeniknąć jej myśli. - Zgadłeś, moje kolacje zwykle tak wyglądają.

- Moje też. Co byś powiedziała na wspólne złamanie tradycji?

- Z tobą?

- Nie żadna randka, po prostu wspólna kolacja. Bez żadnych „oczekiwań” - odparł, zaznaczając palcami w powietrzu cudzysłów.

Poczuła, że burczy jej w brzuchu. Była głodna i okropnie zmęczona. Perspektywa spokojnego samotnego posiłku przed telewizorem nagle straciła urok. Kiedy ostatni raz była z mężczyzną na kolacji?

Tak dawno, że nawet nie pamiętała, kiedy.

A czy nie obiecała sobie, że za parę dni rozpoczyna nowe życie? Dlaczego nie zrobić tego dziś? Już dziś wyskoczyć z utartej koleiny?

Tyle że... za każdym razem, kiedy patrzyła na Kane'a, w jej głowie odzywały się dzwonki alarmowe. To prawda, że zaintrygowała ją propozycja: „bądźmy dla siebie po prostu Kane'em i Susannah”, ona jednak stąpała twardo po ziemi, знаła realia swego życia i wiedziała, że rzeczywisty świat nie rozplynie się nagle w powietrzu. W każdym razie dopóki nie wsiądzie do samolotu, by wyruszyć w wymarzoną podróż.

Zabawy z ogniem, który rozpałał w niej ten dziwny nieznajomy, trzeba odłożyć na później. A najlepiej w ogóle z nich zrezygnować.

A to dlatego, że w głowie Susannah plątała się niejasna myśl, która nie dawała jej spokoju. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że za przyjazdem Kane'a Lennox do Chapel Ridge kryje się coś więcej niż dawna przyjaźń z Pauliem i potrzeba kilkudniowego wypoczynku.

No dobrze, ale co miałyby się za tym kryć? Jakie tajemne interesy mogły go zwabić do spokojnej, mało atrakcyjnej miejsciny w rodzaju Chapel Ridge? Niepotrzebnie go podejrzewa o jakieś ukryte motywy. Pewnie faktycznie przyjechał tylko na wesele i krótkie wakacje, a skoro tak, to na pewno nie zamierza nawiązywać trwalszych więzi z nią czy kimkolwiek innym.

Sam powiedział, że nie chodzi mu o randkę. Nie musi się obawiać ani jego, ani własnych, stanowczo zbyt gorących reakcji na jego spojrzenia.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - powiedziała.
- Nic nie szkodzi. Miałem na myśli coś... niezobowiązującego.
- Niezobowiązującego? W jakim sensie?
- W sensie: zaufaj nieznajomemu - odparł z uśmiechem. A no właśnie.

Problem w tym, że nie była pewna, czy może mu zaufać. A także, czy może zaufać sobie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ty to nazywasz zwykłą kolacją? To już sobie wyobrażam, jak w twoim wydaniu wygląda prawdziwa randka.

W głosie Susannah brzmiała ironia, o czym dodatkowo upewnił Kane'a sposób, w jaki machnęła w jego kierunku hot dogiem. Skutek był taki, że po raz pierwszy od bardzo dawna zrobiło mu się lekko na duszy. Dziewczyna potrafiła swoim zachowaniem sprawić, że czuł się w jej towarzystwie swobodnie i naturalnie. Co nie znaczy, że przestał się pilnować, aby nie zdradzić, kim naprawdę jest.

Bo zamiast opowiadać rzeczy w rodzaju tego, że nigdy dotąd nie chodził boso po trawie albo że nigdy nie miał domowego zwierzątka, mógłby równie dobrze oznajmić wprost, że jest dziedzicem wielomiliardowej fortuny.

Na szczęście Susannah najwyraźniej go nie rozpoznała - jak większość ludzi, którzy nie czytają regularnie czasopism w rodzaju „Forbesa” czy „The Wall Street Journal”.

Musi lepiej opracować szczegóły swej przybranej tożsamości. Znudzony menedżer, który przy okazji wesela przyjaciela pragnie przez parę dni odpocząć na łonie natury. To wystarczy.

On i Susannah siedzieli przy plastikowym turystycznym stoliku, zajadając hot dogi i podane w kartonowych pojemnikach frytki. Poczucia dziwnej wolności nie psuła mu nawet świadomość, że oto polyka czysty cholesterol, skutecznie zatykając sobie arterie. Co więcej, zamówił drugą porcją frytek.

- Normalnie nie jadam takich rzeczy - wyjaśnił, myśląc sobie, że gdyby mu teraz podano szparagi w holenderskim sosie, to chyba zacząłby krzyczeć.

- Spróbuję zgadnąć - rzekła na to, Susannah, rzucając Łazędzie kolejny kawałek zamówionego specjalnie dla psa hamburgera. - Zazwyczaj jesz na kolację talerz owsianki, oglądając wiadomości w telewizji. Albo dostarczoną do domu pizzę, oglądając mecz.

Kane omal się nie zakrztusił. Nie umiał sobie wyobrazić, jak siedzi w swym ogromnym salonie na pokrytej skórą kanapie za trzydzieści tysięcy dolarów i pochłania ociekającą tłuszczem pizzę. W każdym jego domu albo mieszkaniu była osoba, która przygotowywała mu posiłki i podawała je na bezcennej porcelanie. Ale o tym nie mógł wspomnieć, nie budząc podejrzeń swojej dzisiejszej towarzyszki.

- No właśnie, zamawiam ociekającą tłuszczem pizzę i oglądam mecz - odparł.

- Jakbyś mnie widziała.

Susannah przekrzywiła głowę, mierząc go rozbawionym, ale wnikliwym spojrzeniem swych fascynujących zielonych oczu.

- Hm, ociekająca tłuszczem pizza? Dlatego położyłeś sobie serwetkę na kolanach? A frytki jesz widelcem, nie palcami?

Kane rozejrzał się po sąsiednich stolikach i stwierdził, że tylko on ma serwetkę na kolanach. Niech to cholera!

- Moja mama miała krętka na punkcie dobrych manier - powiedział szybko.

Susannah roześmiała się lekkim swobodnym śmiechem, który zabrzmiał w jego uszach jak srebrne dzwoneczki.

- No to nie wiesz nawet, jak wiele straciłeś - rzekła. - Połowa przyjemności z jedzenia frytek polega na tym, żeby umazać sobie ręce ketchupem i solą.

Połowa przyjemności. Patrząc w roześmiane oczy Susannah, pomyślał, że każda cząstka jej ciała wprost kipi radością życia. Miała rację - nie wiedział nawet, jak wiele traci. Po to tu przyjechał: żeby odnaleźć utraconą radość życia. Do tej pory jednak znalazł tylko zabłąkanego psa. Spróbuje pójść za jej radą i umaze sobie ręce ketchupem.

Musiał się do tego zmusić. Przełamanie wpojonych nawyków wymaga nie lada wysiłku. Odłożywszy widelec, wziął butelkę ketchupu i ścisnął ją. Bez skutku. Ścisnął jeszcze mocniej. Znowu nic.

- Spróbuj najpierw potrząsnąć - doradziła mu Susannah. Zrobił, jak kazała. No, może niezupełnie.

Strumień ketchupu opryskał nie tylko frytki, ale także stół, niedojedzonego hot doga, przód koszuli Kane'a, a nawet bok Łazęgi. Pies odskoczył z piskiem, ale po chwili zaczął zlizywać z futra krwawą plamę.

Kane zaklął i chwyciwszy garść serwetek, zaczął zbierać krwawe żniwo. Tymczasem Susannah zaśmiewała się do łez.

- Oj, głuptas z ciebie! Za wcześnie nacisnąłeś butelkę. No i zrobiłeś to po męsku.

- To znaczy jak?

- Z całej siły. Jakbyś się mocował z Goliatem. Poczekaj, ja to zrobię. - Wzięła kilka serwetek i paroma ruchami usunęła ślady katastrofy.

- Hm - mruknął. - Stół jest czysty. Ale popatrz na mnie, wyglądam jak seryjny morderca.

Zamoczywszy róg serwetki w szklance z wodą, Susannah nachyliła się i zaczęła zmywać plamę z gorsu koszuli Kane'a. Długie włosy opadły jej na twarz, a gdy Kane je odgarnął, Susannah zamarła i przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Serce biło mu coraz mocniej. Miał straszną ochotę objąć ją i pocałować, ale znajdowali się w publicznym lokalu i zapewne byli uważnie obserwowani przez połowę mieszkańców miasteczka.

- Hm, nie sądzę, żeby to wiele pomogło - zauważył. - Mam nadzieję, że macie tu pralnię chemiczną.

- Oczywiście - odparła, odsuwając się od niego i odgarniając włosy z twarzy. Była wyraźnie zarumieniona. - Ale w czwartki Abe, jej właściciel, jeździ na ryby i zamyka pralnię w południe.

- Mówisz poważnie? - zdumiał się Kane. - Jak można w ten sposób prowadzić interes?

- Widocznie można. Zwłaszcza jeżeli człowiek nie czuje potrzeby zapracowania się na śmierć. Abe dobiega siedemdziesiątki, a pralnia to jego uboczne zajęcie.

- Mógłby przecież wynająć kogoś do pomocy. Susannah popatrzyła na niego z uśmiechem politowania.

- Rozejrzyj się po tych ludziach - powiedziała, zerkając na sąsiednie stoliki. - Widzisz tu wielu klientów pralni chemicznej?

Rzeczywiście. Klienci restauracji na wolnym powietrzu, podobnie jak przechodnie na ulicach Chapel Ridge, byli w większości poubierani w dzinsy i trykotowe koszulki.

Susannah zrobiła ruch ręką, w której trzymała serwetkę, jakby chciała ponowić próbę usunięcia plamy, ale się rozmyśliła.

- Masz rację, nic z tego nie będzie. Zamiast zmyć plamę, tylko ją rozmazałam - stwierdziła.

- Ach, nie przejmuj się. Kupię sobie nową koszulę.

- Po co? Przecież możesz ją uprać.

- Uprać?

- No tak. Wrzucić do pralki... Ach, prawda - zreflektowała się. - W chacie nie ma pralki, a szkoda pieniędzy na chodzenie do pralni z jedną koszulą.

Kane stłumił śmiech. Szkoda pieniędzy? Ile może kosztować wynajęcie pralki? Pewnie parę dolarów.

- Masz rację, szkoda na to pieniędzy - odparł, ale widząc jej lekko podejrzliwe spojrzenie, uznał, że zachowuje się zbyt sztywno. Musi się bardziej upodobnić do otoczenia. - Też nie lubię wydawać forsy bez potrzeby. Zwłaszcza na wakacjach człowiek musi się pilnować.

- Mogę ci ją uprać - zaproponowała.

- Nie, nie, to nie byłoby w porządku.

- Kiedy to żaden kłopot. Ile koszul zabrałaś z sobą na kilka dni? Pewnie najwyżej dwie.

Jak ma jej powiedzieć, że ma w domu dziesiątki koszul? I to koszul bynajmniej nie z wyprzedaży w tanim sklepie, ale szytych na miarę przez krawca, z którego usług korzystał, odkąd odrósł od ziemi?

- Zgadłaś. Mam tylko tę i drugą na zmianę.

- No to jedziemy do mnie i sprawa załatwiona.

Do niej do domu? Tylko we dwoje? Żeby uprać mu koszulę? A to ci dopiero! W tej chwili pojechałby z nią nawet segregować śmiecie.

- Wspaniale! Dziękuję.

Dopiero po wyjściu z restauracji Kane zdał sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy próbuje się uwolnić z pułapki swojej egzystencji, jeszcze bardziej komplikuje sobie życie.

To chyba jednak nie był najlepszy pomysł, myślała Susannah, która teraz, stojąc z butelką płynu do prania w ręku, starała się omijać wzrokiem obnażony tors swego towarzysza. Kane Lennox mógłby występować jako model reklamujący urządzenia do rozwijania mięśni albo męskie wody toaletowe. Słowem, wyglądał jak uosobienie seksapilu. Szerokie ramiona, idealnie ukształtowany tors, płaski jak deska brzuch. Jeśli uprawia jakieś specjalne ćwiczenia, to na ich opublikowaniu mógłby zarobić miliony.

Niejedna kobieta, jej samej nie wykluczając, wiele by dała za to, by móc go choćby tylko dotknąć.

- Masz jeszcze coś do uprania, czy tylko tę koszulę? - zapytał Kane.

O kurczę! Złapał ją na tym, że się na niego gapi.

- Tak, parę drobiazgów. - Lekko zaczerwieniona włożyła do pralki jego koszulę, dorzuciła parę rzeczy wyjętych ze stojącego obok kosza, i nacisnęła guzik.

- Nie jestem ekspertem, ale czy nie trzeba dodać płynu? - zapytał, wskazując tkwiącą w jej ręce butelkę.

Tym razem jej twarz spurpurowiała. Lepiej by uważała, co robi, zamiast się na niego gapić, pomyślała ze wstydem.



- Oj, zapomniałam. - Włała do pralki miarkę płynu i zamknęła klapę. - Mogę ci pożyczyć jedną z koszul Paula. On zawsze robi pranie u nas, i zwykle zostawia trochę czystych rzeczy na wszelki wypadek.

- Nie mam nic przeciwko Paulowi, ale ponieważ jest ode mnie sporo niższy i szczuplejszy, więc nie sędzę, żebym się zmieścił w jego koszulę.

Wzrok Susannah powędrował znowu w niedozwolonym kierunku. Patrząc na obnażony tors Kane'a, musiała przyznać, że jest nieporównanie lepiej zbudowany od Paula.

- Nie będzie ci zimno?

Uśmiechnął się kącikiem warg.

- Nie. A tobie?

Temperatura przebiegających między nimi fal rosła z sekundy na sekundę. Susannah cofnęła się gwałtownie, ale odbiła się od ściany. W małym pomieszczeniu, w którym stała pralka, było dla nich obojga za ciasno.

- Napijesz się kawy? - zapytała.

- Jestem twoim zakładnikiem - odparł Kane. - Możesz ze mną robić, co ci się podoba.

Susannah pospiesznie wycofała się na korytarz.

- Bez kofeiny? - Była zbyt podniecona, by potrzebować dodatkowej stymulacji w postaci prawdziwej kawy.

- Świetnie.

Na progu kuchni stanęła jak wryta. Kuchenny zlew, stół i blat były zastawione brudnymi naczyniami. Jakim cudem Jackie i Paul zdążyli w tak krótkim czasie tyle nabrudzić?

Nad odpowiedzią nie musiała się długo głowić. Mieli niespodziewanych gości. Znała te nagłe wizyty przyjaciół młodszej siostry i jej narzeczonego, którzy wpadali jak burza, by po obejrzeniu najnowszego filmowego hitu zniknąć jak zjawy, zostawiając po sobie nieludzki bałagan. Taki jaki miała przed oczami: opróżniona

do połowy torba ziemniaczanych chrupków, stosy zmiętych serwetek i brudnych talerzy na stole, puste puszki i butelki po piwie w każdym możliwym miejscu, a koło zlewu otwarty pojemnik z resztką topniejących lodów czekoladowych.

Co za brak szacunku dla cudzej pracy! I co za wstyd! Nim zdołała cokolwiek zrobić, by oszczędzić Kane'owi tego widoku, a sobie wstydu, jej gość zdążył przestąpić próg kuchni. Nic nie powiedział, ale jego milczenie wprowadziło ją w tym większe zażenowanie.

- Nie myśl, że nasza kuchnia zawsze tak wygląda - powiedziała, zbierając brudne naczynia i odnosząc je do zlewu. Uporządkowawszy jako tako blat i stół, nastawiła wodę na kawę. Była wściekła na Jackie i Paula, ale pocieszała się myślą, że za parę dni już jej tu nie będzie i bałaganiarze będą musieli zmywać sami.

- Nic nie szkodzi - uprzejmie odparł Kane.

Był jednak wyraźnie wstrząśnięty, choć starał się tego nie okazywać. Pewnie w jego domu zawsze panuje idealny porządek. Odsunął krzesło, zamierzając usiąść przy stole, lecz zauważywszy leżący na siedzeniu plik gazet, wziął je do ręki i stał bezradnie, jakby nie miał pojęcia, co z nimi zrobić.

- Pozwól, że ja się nimi zajmę. - Wyjęła mu gazety z rąk i wrzuciła je do pojemnika na makulaturę.

Kane ostrożnie usiadł na krześle.

- Mieszkasz tu razem siostrą, prawda? - zapytał.

- I Paulem, który praktycznie od nas nie wychodzi. Ale ja niedługo się wyprowadzam. - Czekaając, aż woda się zagotuje, krzątała się po kuchni, usuwając brudne serwetki, talerzyki i kartony po pizzach. Tymczasem Łazęga najspokojniej w świecie ułożył się na chodniku pod drzwiami.

- Wyprowadzasz się po weselu?

- Tak.

- Przeprowadzasz się do własnego domu? Susannah roześmiała się.

- O nie! Nie stać mnie na własny dom.

- Ale na pewno masz jakieś plany na przyszłość.

- Plany na przyszłość? - zawołała, zatrzymując się pośrodku kuchni. - Mój jedyny plan to dożyć do wesela, a zaraz potem wyjechać z tej dziury. Po powrocie będę się zastanawiać, co dalej.

- To niezbyt rozsądne.

- Co to za pouczenia? Kto dał ci prawo instruować innych, jak mają sobie układać życie?

- Przepraszam, nie powinienem. Mam taki fatalny zwyczaj.

- To lepiej się go pozbać - rzuciła, ale natychmiast pożałowała swoich ostrych słów. Nie powinna była na niego napadać, przecież nie zrobił nic złego. Powiedział tylko szczerze, co myśli, a ona najbardziej ceniła w ludziach szczerłość. - Bardzo cię przepraszam. Jestem trochę zdenerwowana, mam ostatnio za dużo na głowie.

- Nie, to moja wina. Podasz mi rękę na zgodę?

Kiedy ścisnęła mu dłoń, przez jej ciało przebiegł kolejny dreszcz. Szybko cofnęła rękę.

- Nie jesteś głodny? Mogłabym zrobić kanapki.

- Wspaniale.

- Pomożesz mi, a ja pozmywam. - I nie będzie mogła gapić się na jego tors ani snuć głupich myśli. Bo nie zamierza wdawać się właśnie teraz w romans z jakimkolwiek mężczyzną, nawet takim jak on! - Może to jest wbrew zasadom gościnności, ale nie znoszę widoku brudnych naczyń.

- Bardzo chętnie. Powiedz, co mam robić? Pocałuj mnie. Tylko raz...

- W lodówce znajdziesz szynkę i ser. Jeśli chcesz, mogę zrobić grzanki - powiedziała.

- Już się robi. - Podszedł do lodówki i zajrzał do środka. - To ma być ser? - zapytał, wyjmując opakowanie z plasterkami żółtego sera.

Susannah parsknęła śmiechem.

- Nigdy nie jadłeś amerykańskiego sera?

- Ach tak, oczywiście - zreflektował się Kane. Znowu zajrzał do lodówki. -  
Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę szynkę?

- Nieco wyżej, w środkowej szufladce.

Kolejny raz stanął bezradnie.

- To? - zapytał, pokazując plastikowy pakiecik.

- Oczywiście. Nie widzisz, że to szynka?

Wyglądał szalenie zabawnie, przyglądając się podejrzliwie paczkowanym  
plastrom szynki, jakby pierwszy raz w życiu widział coś podobnego.

- Aha. Gdzie się to kupuje?

- Jak to gdzie? W każdym sklepie - roześmiała się Susannah. - Chleb jest w  
tamtym pudle, a musztarda w lodówce, na drzwiach. A noże znajdziesz w  
szufladzie, tej tutaj, koło mojego biodra.

Spojrzenie, jakie jej rzucił po ostatnich słowach, uświadomiło Susannah, że  
nie ona jedna ma niestosowne myśli. Lekki dreszczyk przeszedł jej po plecach, a  
myty talerzyk wysunął się z rąk. Szybko pochyliła się nad zlewem. Nie bądź idiotką,  
powiedziała sobie w duchu. Zajmij się swoimi sprawami, zamiast zawracać sobie  
głowę facetem, który wyjedzie stąd za parę dni i nie wróci.

Z zacięłością zabrała się do zmywania i po kilkunastu minutach wszystkie  
naczynia i sztućce znalazły się na suszarce. Zdjąwszy fartuch, obejrzała się na  
siedzącego przy stole Kane'a, który dosyć niezdarnie smarował pokrojone kromki  
chleba majonezem.

- Widzę, że lubisz majonez - zauważyła.

- A co, za grubo? Kuchnia to nie moja specjalność. Ty pewnie lepiej to  
zrobisz.

- No, może trochę lepiej. - Z uśmiechem wyjęła mu nóż z ręki. Po paru  
minutach na talerzu leżały dwie solidne kanapki z serem i szynką. - Zjemy tutaj czy  
na dworze?

- Na dworze - zdecydował. - Chciałbym tutaj spędzać jak najwięcej czasu na powietrzu. Normalnie o wiele za dużo czasu przesiaduję w biurze.

W biurze? A mówił, że pracuje w jubilerskim sklepie. Albo jest kierownikiem, albo ona zanadto czepia się szczegółów. Chciała go zapytać, ale przypomniała sobie, że mają być dla siebie „po prostu Kane'em i Susannah”.

Po przełożeniu prania z pralki do suszarki wzięła talerz z kanapkami i wyszli do ogródka za domem. Łazęga podreptał za nimi i natychmiast zaczął biegać, obwąchując drzewa i krzewy.

Susannah i Kane usiedli na leżakach.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc przy nakrywaniu stołów. Bez ciebie nie wiem jak długo bym tam siedziała - rzekła, spoglądając z wdzięcznością na swego towarzysza.

- Zrobiłem to z przyjemnością. Może mi nie uwierzysz, ale wiem, co to znaczy mieć zbyt wiele na głowie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwała się jego komórka, a przestraszony jej dźwiękiem Łazęga zaczął głośno szczekać. Susannah wstała, by go uspokoić.

- Lepiej odbierz, bo będzie tak dzwonić w nieskończoność - poradziła.

- Chyba masz rację. - Kane otworzył klapkę komórki i przyłożył telefon do ucha.

Pies tymczasem rzucił się w pościg za wiewiórką, a Susannah ruszyła za nim przez trawnik. Dobiegały ją urywki rozmowy.

- Prosiłem, żeby nikt do mnie nie dzwonił - mówił Kane. I po chwili: - Wiem, że to nerwowa sytuacja, ale ty z Sawyerem z powodzeniem poprowadzicie negocjacje. Zresztą tydzień dłużej nie zrobi różnicy. Może nawet pomóc obniżyć cenę. - A jeszcze później: - Nie, nikomu ani słowa. Bardzo cię proszę. Zjawię się w poniedziałek rano, ale ani minuty wcześniej.

Susannah uznała, że czas zajrzeć do suszarki. Po chwili wróciła do ogrodu, niosąc koszulę Kane'a, który chował właśnie komórkę do kieszeni.

- Bardzo ci dziękuję, wygląda jak nowa - z miłym uśmiechem powiedział Kane.

- Drobiazg - odparła. W głębi duszy żałowała, że koszula nie zbiegła się albo nie podarła, bo wtedy mogłaby się dłużej cieszyć widokiem wspaniałego męskiego torsu. - Problemy w pracy?

Twarz Kane'a stężała.

- Coś w tym rodzaju.

- Nie jesteś zbyt gadatliwy - mruknęła, idąc z nim w kierunku furtki. Łazęga znalazł sobie patyk i podbiegł z nim do Kane'a, zapraszając do zabawy. On jednak nawet tego nie zauważył. Co takiego powiedział mu rozmówca, że nastrój Kane'a tak nagle się zmienił?

- Jeszcze raz dziękuję za wszystko, ale muszę wracać do chaty. Chodź, piesku, jedziemy do domu. - Sięgnął do kieszeni po kluczyki do samochodu.

- Musisz już jechać?

- Tak. Muszę doprowadzić pewne sprawy do porządku. A miałem nadzieję, że przynajmniej na parę dni wyrwę się z codziennego kieratu - odparł z westchnieniem.

Popatrzył na Susannah. Przez moment miała wrażenie, że w jego oczach dostrzega żal. Zaraz jednak się zasepił, jakby ciemna chmura nagle przykryła słońce.

Zanim się obejrzała, wsiadł do samochodu i odjechał. Ma swoje sekrety, pomyślała. I nie lubi się nimi dzielić.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jak on się w to wszystko wplątał? On, w którego życiu każda rzecz musiała być zaplanowana, w którym nie było miejsca na niepotrzebną stratę czasu? Kane zastanawiał się nad tym, siedząc z Paulem w pubie Flanagana, gdzie zza baru płynęła muzyka country, przywołując wspomnienia wspólnych wypadów sprzed lat. Wypili już kilka piw, a Paul zdążył mu opowiedzieć o swojej pracy nauczyciela historii w miejscowej szkole. W pewnej chwili rzekł:

- Nie masz pojęcia, jak było mi trudno zdobyć się na to, żeby prosić cię o przysługę.

Kane niewiele mówił o sobie. Bo co miał powiedzieć? W jego życiu niewiele się zmieniło. Wiecznie tylko pieniądze i praca.

- Kiedy ostatni raz miałeś wakacje? - zapytał Paul po chwili milczenia.

- Ja? To mój pierwszy urlop od studiów.

- Nie żartuj! Z twoimi pieniędzmi mógłbyś na każde wakacje kupować cały hotel albo własną wyspę.

- Mogę sobie kupić wszystko oprócz czasu - zaśmiał się gorzko Kane. -

Ilekcroć zaplanuję urlop, w firmie wybucha kryzys i okazuje się, że jestem niezbędny. A ja jak głupi zostaję, bo... - tu Kane ciężko westchnął - bo wciąż mam nadzieję, że kiedy odegram rolę bohaterskiego wybawcy, ojciec doceni moje poświęcenie i da temu wyraz. Ale jeszcze nigdy nie doczekałem się od niego nawet słowa uznania.

- Przykro mi, stary.

Kane wzruszył ramionami.

- W końcu jednak miałem tego dosyć. Twoje zaproszenie okazało się dla mnie prawdziwym zbawieniem. Powiedziałem sobie: teraz albo nigdy. Zamknąłem drzwi biura i oto jestem. Dobrze mi to zrobiło. I tobie chyba też.

- Jeszcze jak - zaśmiał się Paul. - Przypomniały mi się dawne szalone czasy, zanim poznałem Jackie. Pamiętasz, jak się zabawialiśmy?

- Jak przez mgłę - zauważył Kane ze smutkiem.

- Wiem, wiem. Młody Lennox nie oddaje się szaleństwu - zaśmiał się Paul. I szeptem dodał: - W każdym razie nie wtedy, kiedy kamerdyner Charles ma go na oku.

- Ale kiedy zaśnie, zaczyna się życie. - Kane też zniżył głos i uśmiechnął się porozumiewawczo na myśl o tym, jak wymykali się nocą z akademika.

Paul był jedynym kolegą ze studiów, który nie traktował go jak trędowatego, ponieważ przywieziono go na kampus limuzyną, a w domu studenckim mieszkał z nim osobisty kamerdyner.

- Za stare dobre czasy! - Paul stuknął się z nim butelką. - Jeszcze dziś czasami mi ich brakuje.

- Za wspólne dobre czasy - powtórzył Kane, pociągając haust piwa prosto z butelki, czego nie robił od wielu lat.

No tak, Lennoxowie nigdy nie zachowują się wulgarnie.

Nigdy nie podnoszą głosu. A przede wszystkim żaden z nich nie wywołuje skandali. Jego nazwisko tylko trzy razy w życiu może ukazać się w prasie - kiedy przychodzi na świat, kiedy bierze ślub oraz gdy umiera.

Dlatego te nocne wypadki z Paulem były dla Kane'a błogosławionym wytchnieniem, pozwalając mu od czasu do czasu uwolnić się od krepujących więzów wszechogarniającej poprawności. Inaczej chyba by zwariował.

- Czy Susannah wie, kim jesteś? - zapytał Paul, biorąc ze stojącej na barze drewnianej miseczki garść fistaszków i wrzucając je do ust.

- Nie. I nie mam zamiaru jej mówić. Ani nikomu innemu. Wiesz tylko ty, i tak niech zostanie. Mam po uszy kontaktów z ludźmi, którzy patrzą na mnie i widzą tylko pieniądze.

- Będę milczał jak grób. Nie zdradzę cię, zbyt wiele ci zawdzięczam.



- Ty mnie? - zdziwił się Kane.

- A tak - przytaknął Paul. - Gdyby nie ty, nie wiem, jak bym wytrzymał naciski ze strony ojca, który uważał, że wybierając historię, marnuję sportowe stypendium. Marzył, żeby jego syn trafił kiedyś do zawodowej ligi futbolu. Ale mnie interesowała historia, a poza tym wiedziałem, jak niepewna jest kariera sportowca, no i chciałem mieć w przyszłości normalną pracę. No to za nasze! - Znowu stuknęli się butelkami. - Ale wynajmiesz mi ochroniarza, jeżeli Susannah i Jackie dowiedzą się, że ukryłem przed nimi, kim jesteś, i będą mnie chciały zamordować?

- Jasne.

- Dziękuję. - Paul wrzucił sobie do gardła następną garść fistaszków. - Na pewno nie jesteś zły, że proszę, żebyś ją zabrał na wieczór z domu? Wiem, Susannah jest już moją prawie szwagierką, ale to miła kobieta.

- Wiem - przytaknął Kane.

I to bardzo miła, dodał w myślach. Z tego jednak nie zamierzał się przyjacielowi zwierzać w obawie, by ten nie zaczął go ze szwagierką swatać. Paulowi na pewno trudno byłoby zrozumieć, dlaczego on i Susannah nie mają przed sobą przyszłości.

Susannah Wilson była typem kobiety, z którą mężczyzna chciałby się związać na stałe. A zarazem kobietą, którą jego ojciec natychmiast wyekspediowałby do Europy jako osobę „nie do przyjęcia” w roli żony jego syna.

- Larry, skończyły się orzeszki! - zawołał Paul do barmana, pokazując mu pustą miseczkę.

- Ale z ciebie żarłok - dobrotliwie uśmiechnął się Larry. Dosypawszy fistaszków, odszedł na drugi koniec lady.

- Biedny Larry - westchnął Paul. - Chodziłem z nim do szkoły.

- Dlaczego biedny?

- Jego dzieciak choruje na białaczkę. Potworna tragedia. Ale Larry niczego po sobie nie pokazuje. Jest zawsze tak samo uśmiechnięty i życzliwy. Ale parę

miesiący temu zorganizowaliśmy zbiórkę pieniędzy, żeby miał na leczenie dzieciaka. Widzisz, Kane, tak to się robi w tych małych miasteczkach. Ludzie sobie pomagają.

- I nie uprawiają polityki - podsunął Kane.

- Tego nie byłbym taki pewny. Na przykład nie jest rzeczą polityczną chodzić bosą po czyimś trawniku. Lepiej tego nie robić, bo ludzie uznają cię za niebezpiecznego dziwaka - przestrzegł go Paul z uśmiechem.

- Obiecuję, że to się nie powtórzy. Ale czy jesteś pewien, że Susannah będzie chciała ze mną wyjść?

- Wiem tylko, że mnie i Jackie bardzo zależy na tym, żeby spędzić dzisiejszy wieczór sam na sam, a Susannah nie ma żadnych planów. Więc albo wyciągniesz ją z domu, albo nici z naszego wieczoru - z całą szczerością wyjaśnił mu Paul.

- Nie możecie poczekać? Przecież za trzy dni będziecie małżeństwem.

- Znasz mnie, stary, i wiesz, że nigdy nie odznaczałem się nadmiarem cierpliwości - odparł Paul. - Od dawna nie mogę się doczekać paru godzin sam na sam z Jackie. A do tego muszę z nią poważnie porozmawiać, bo ma lekką rękę i jest gotowa przepuścić na wesele całe nasze oszczędności. Więc bardzo cię proszę, żebyś na ten jeden wieczór wymanewrował jej siostrę z domu. Poproś Susannah, żeby ci pokazała miejscowe osobliwości.

- Osobliwości Chapel Ridge? - Kane parsknął śmiechem. - To nam zabierze góra kwadrans.

- Liczę na twoją pomysłowość. - Paul wstał z barowego stołka i klepnął Kane'a po plecach. - Jeśli dobrze pamiętam, improwizacja to twoja specjalność.

- Chcesz mnie zabrać na ryby? - Susannah popatrzyła na niego, jakby nie dowierzała własnym uszom. Była to ostatnia rzecz, jakiej mogła się spodziewać. Wprawdzie Kane zamienił swoją nieskazitelną rozpinaną koszulę na bawełniany podkoszulek, ale nadal wyglądał bardziej na miejskiego eleganta niż amatora rybołówstwa.

Niemniej miał przy sobie wędkę.

- Pomyślałem, że we dwójkę będzie weselej.
- Nie możesz zaprosić Paula? Wędkowanie to męska zabawa.
- Paul ma na dzisiaj inne plany.

Susannah rzuciła Paulowi zdziwione spojrzenie. Przyszły szwagier tylko rozłożył ręce.

- Jakie plany? Jackie nic mi nie... - zaczęła, ale spojrzawszy na siostrę, urwała w pół zdania. Jackie miała na sobie czarną głęboko wyciętą bluzkę, była starannie uczesana i umalowana. Zupełnie jak na randkę. Doznawszy nagłego olśnienia, Susannah zrobiła się czerwona. - Ach, plany... No tak.

- Zabieram cię na ryby - szybko wtrącił Kane.

- Ulituj się nad moim kumplem - dodał Paul. - Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek wyjedzie sam na urlop i brakuje mu towarzystwa.

Nie, nie wiedziała, jak to jest, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie była na urlopie. Ale powiedziała tylko:

- W porządku. Idziemy, Kane. Do zobaczenia. - Chwyciwszy wędkę i dzinsową kurtkę, skierowała się do drzwi.

- Pozwól, że zajmę się tą wędką, zanim wyłupisz mi oko. - Kane wyjął jej wędkę z rąk, otworzył okno samochodu i wyrzucił ją na ziemię.

- Co ty wyprawiasz?

- Rozbrajam cię, zanim wyładujesz na mnie złość.

- Byłeś z nimi w zмовie?

- Do pewnego stopnia. Co prawda nie przewidywałem, że wyproszą cię w tak bezceremonialny sposób.

- Jak utrapionego gościa, który zapomniał wyjść w porę z przyjęcia? Albo jak klienta drzemiącego za barem, kiedy wszyscy już dawno rozeszli się do domów?

- Pojąłem aluzję i przepraszam. - Kane zapalił silnik. Nieświadomy niczego pies przyblęda z zadowoloną miną wskoczył na tylne siedzenie. - Daruj im, są w tej chwili zanadto zajęci sobą, żeby brać pod uwagę cudze uczucia.

- A niech sobie robią, co chcą. Za parę dni i tak już mnie tu nie będzie - burknęła ze złością Susannah.

- Dokąd się wybierasz?

- W podróż. Chcę zobaczyć kawałek świata. Zaraz po weselu zamykam salon i wyjeżdżam.

- Naprawdę? Po co?

- Żeby zobaczyć, co mnie dotąd w życiu omijało. - Siedziała odwrócona do niego bokiem, rysując jakieś wzory palcem na oknie.

Kane roześmiał się cicho.

- Śmiesz cię mój pomysł? - spytała ostro.

- Nie, po prostu się dziwię.

- Co cię tak dziwi?

- To, że niektórzy marzą o takiej oazie ciszy i spokoju, z której ty tak bardzo chcesz się wyrwać.

- Nie rozumiem, co może być w niej atrakcyjnego.

Kane skręcił w tymczasem w kolejną boczną drogę, która po kwadransie doprowadziła ich na drugi koniec jeziora. Zgasił silnik. Srebrna tafla wody lśniła w świetle księżyca.

- Myślałam, że zrezygnowałeś z wędkowania - rzekła Susannah.

- Bo zrezygnowałem, ale nie możemy wracać do twojego domu. Nie sądzę, żebyś miała ochotę spędzić wieczór w mojej chacie, a w miasteczku o tej porze nie ma dokąd pójść - wyjaśnił Kane.

- Dlatego właśnie chcę stąd uciec.

Kane wyjął kluczyk ze stacyjki i otworzył drzwi.

- Chodźmy się przejść - zaproponował.

Perspektywa nocnego spaceru z Kane'em po lesie była tyleż kusząca co niebezpieczna. Nie powinna tego robić. W jej życiu nie ma w tej chwili miejsca na romanse, i to z człowiekiem, który ma za parę dni wyjechać na zawsze.

- Powinnam wrócić do salonu i zrobić porządki w papierach.

Kane położył jej rękę na dłoni.

- Nie dziś. Szkoda takiej pięknej nocy. - Zanim zdążyła zaproponować, wyskoczył z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi z jej strony.

Susannah popatrzyła na jezioro. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spacerowała nad wodą.

- Odblaski księżyca w jeziorze skrzą się jak diamenty - szepnęła.

- To prawda - przyznał. - Czy wiesz, że diamenty są jak płatki śniegu? Nie ma dwóch identycznych. Najstarsze powstały miliardy lat temu, ale ludzie wydobywają je dopiero od paru tysięcy lat.

- Co ty powiesz? Nie miałam pojęcia. - Wsiadła z samochodu, a pies wyskoczył za nią.

- Są zdumiewające. Mam na myśli diamenty. Niekiedy w wyniku obróbki z surowego kamienia zostaje tylko połowa. Trzeba prawdziwego artysty, żeby odkryć tkwiący w nim potencjał. - Kane schylił się, zebrał z ziemi garstkę kamyków i podrzucił je na dłoni. Płatki kwarcu zamigotały w świetle księżyca.

- Skąd szlifierz wie, jaki nadać mu kształt? - zapytała.

- To cała sztuka. - Kane odrzucił kamyki i otrzepał ręce. - Umiejętność cięcia i szlifowania diamentów przechodzi od pokoleń z ojca na syna.

- Ale nie z matki na córkę? - spytała ironicznie.

- Czasami. Najważniejsza jest umiejętność spokojnego wsłuchania się w to, co mówi kamień. Odkrycie jego istotnej natury.

- Ale czy nie chodzi zawsze o znalezienie kolejnego największego diamentu na świecie?

- Zdziwisz się, ale nie. Dla jubilerów najbardziej ekscytujące są wcale nie największe, ale najrzadsze diamenty. Takie na przykład, jak diament czerwony. Albo bardzo ostatnio modne diamenty czekoladowe, o brązowym odcieniu, które dawniej wcale nie były w cenie.

- Praca jubilera musi być bardzo romantyczna - zauważyła Susannah, lekko wzdrygając się od chłodu. Dżinsowa kurtka okazała się zbyt lekka na nocne spacerowanie po lesie.

- Dlaczego uważasz, że to takie romantyczne?

- Czyż każda świeżo poślubiona para nie upatruje w pierścionku z brylantem symbolu szczęścia? - zapytała z lekko ironicznym uśmiechem.

Kane zdjął swą skórzaną kurtkę i otulił nią Susannah. Ta na moment przytuliła się do niego, lecz natychmiast się cofnęła. Kiedy ostatni raz mężczyzna okazał jej tyle troski z własnej nieprzymuszonej woli? - przemknęła jej przez głowę smętna myśl.

- Mówisz, jakbyś miała coś przeciwko wyjściu za mąż.

- Mnie taka perspektywa nie pociąga.

- Ale dlaczego?

- Bo małżeństwo nie zawsze przynosi szczęście.

- I ponieważ masz inne plany.

- To też.

Szli wolno wokół jeziora, a pies przybłąda harcował w porastających brzeg wody chaszczach.

- A co byś zrobiła, gdybyś nagle spotkała wymarzonego mężczyznę? - spytał Kane. - Na przykład podczas podróży przez Alpy albo w trakcie zwiedzania Londynu?

- Akurat! - roześmiała się Susannah.

Kane podniósł z ziemi kamień i płaskim ruchem rzucił go na wodę, lecz kamień odbił się tylko raz i zatonął.

- Ale ze mnie oferma - mruknął zawiedziony.

- Bo wybrałeś zbyt okrągły kamień. Powinien być bardziej płaski. -

Rozejrzawszy się, wybrała odpowiedni kamyk, wzięła zamach, po czym płynnym gestem wprawiła go w ruch. Kamyk plasnął o wodę, odbił się od jej powierzchni, zatoczył w powietrzu kilka łuków, aż wreszcie zniknął pod wodą.

- No, no, mam do czynienia z prawdziwą mistrzynią. Jak się tego nauczyłaś?

- Miałam dużo czasu, przyprowadzając Jackie ze szkoły. Trwało to godzinami.

Była zawsze towarzyska i po szkole nie potrafiła rozstać się z koleżankami. A ja w tym czasie musiałam się czymś zająć, więc szłam nad jezioro i puszczałam kaczki albo wdrapywałam się na drzewo. Jackie wiedziała, gdzie mnie szukać, kiedy miała wreszcie dosyć pogaduszek. Ale zawsze mnie przy tym upominała, że zachowując się w ten sposób, kręcę sobie powróż na szyję - dodała ze śmiechem Susannah.

- W jakim sensie?

- Towarzyskim. I pewnie miała rację. No bo to w końcu ona wychodzi za mąż, a ja nadal zajmuję się puszczeniem kaczek.

Kane chwycił Susannah za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Nie miała racji. To nie jezioro błyszczało w świetle księżyca jak diamenty, ale ona - jej oczy, usta, włosy, ona cała. Ujął ją za podbródek i podniósł jej twarz po prostu po to, by na niego popatrzyła, lecz nagle ogarnęło go przemożne uniesienie.

- Jesteś niezwykła - powiedział, wpatrując się w twarz kobiety, która niosła ukojenie, spokój, nadzieję i utraconą wiarę w ludzi.

Susannah Wilson wydała mu się ucieleśnieniem marzenia o kobiecie idealnej.

- Nie musisz mnie pocieszać, dlatego że jesteś pierwszym przyjacielem - odezwała się. - Pewnie Paul naopowiadał ci łzawych historii o samotnej starszej siostrze, starej pannie. Bo w takim małym miasteczku staropanieństwo uważa się za rodzaj choroby. Ale ja wcale...

- Za dużo mówisz - mruknął Kane, gładząc jej policzek.

- Ja wcale...

- Widzę, że jest tylko jeden sposób, żeby cię uciszyć - wyszeptał, zamykając jej usta pocałunkiem.

Susannah w pierwszym momencie nie zareagowała, lecz po chwili zaczęła jakby topnieć, odprężyć się, aż w końcu zarzuciła mu ręce na szyję i całą sobą odpowiedziała na pocałunek.

A w nim eksplodowały zmysły.

Całował w życiu dziesiątki kobiet. Jedne w trakcie pocałunku mruzczały jak koty, inne zachowywały się jak statuy z marmuru, a jeszcze inne starały się odgadnąć jego pragnienia. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która, tak jak ona, wkładałaby całą siebie w coś tak prostego jak zwykły pocałunek.

Objął ją jeszcze mocniej, słysząc w uszach syreni śpiew pożądania. Nie ulegało wątpliwości, że ten pocałunek na zawsze wryje mu się w pamięć.

Nareszcie Susannah oderwała się od niego.

- Co to było? - zapytała.

- Jeżeli jeszcze się nie domyśliłaś, to chętnie powtórzę.

- Nie o to pytam, dowcipnisiu - odparła, wymierzając mu kuksańca w bok. -

Dlaczego mnie pocałowałeś?

- Bo mi się podobasz.

- Ale ja nie mam ochoty na romanse.

- Ani ja.

- Więc dlaczego mnie pocałowałeś?

- Czy każdy pocałunek musi się kończyć przysięgą przed ołtarzem?

- Jesteśmy w małym miasteczku w Indianie. My tutaj mamy zwyczaj doprowadzać sprawy do końca.

Kane powiódł palcami po jej policzku.

- Może najwyższy czas zmienić ustalone obyczaje, śliczna Suzie.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dlaczego Kane ją pocałował? I to akurat teraz, gdy była przekonana, że wszystko układa się zgodnie z planem? On tymczasem swoim pocałunkiem przewrócił wszystko do góry nogami, zasiał w duszy Susannah podejrzenie, że przegapiła w życiu coś ważnego i dopiero dziś odkryła sekret dobrze znany każdej kobiecie.

Jeszcze nikt nigdy tak jej nie całował. Ani Darryl Taylor, ani jej ostatni chłopak, Tim Mills, z którym prowadzali się przez blisko dwa lata. Nie żeby całowali bez zapału czy przekonania, ale... brakowało im doświadczenia.

No tak, ale to by znaczyło, że Kane znał wiele kobiet, którym też nie brakowało doświadczenia. Dlaczego w takim razie wybrał sobie właśnie ją, skromną dziewczynę z małego miasteczka? Chyba po to, żeby przelotnym romanssem urozmaicić sobie wakacje.

- O czym myślisz? - odezwał się Kane, biorąc ją za rękę i ruszając wolnym krokiem w dalszą wędrowkę wokół jeziora.

- Po co tu przyjechałeś? Poza weselem?

- Mam bardzo wyczerpującą pracę i od niepamiętnych czasów nie miałem dnia urlopu.

- Wiem, ale dlaczego tutaj? Tyle jest ciekawszych miejsc: Chicago, Detroit, Cincinnati!

- Ale ja żyję na co dzień w wielkim mieście. Chciałem odetchnąć inną atmosferą.

- A ja na odwrót, marzę o wielkim mieście.

- Może po paru dniach okaże się, że wszystko, co lubisz, jest właśnie tutaj.

- A ty po paru dniach u nas odkryjesz, że twoje wyobrażenie o rozkoszach życia w małej miejscinie było czystym wymysłem.

- Może tak, a może nie - przyznał Kane z beztróskim śmiechem. Łazęga wyskoczył z nadbrzeżnych chaszczki i, obiegłszy ich dokoła, rzucił się ponownie ku wodzie. - Nie masz własnego psa?

- Bardzo lubię psy, ale i tak mam z nimi codziennie do czynienia w pracy, a poza tym od dawna wiedziałam, że wyjadę, więc nie chciałam brać tylko po to, żeby potem go porzucić. Pies jest wierny i uczciwy, nie mogłabym mu zrobić czegoś takiego - wyjaśniła rozsądnie.

Szli dalej brzegiem jeziora, trzymając się za ręce i rozmawiając, jakby znali się od dawna. Jakby ten nocny spacer był najnaturalniejszą rzeczą na świecie. W pewnej chwili zza wody doszły ich dźwięki sentymentalnej piosenki.

- Ktoś musiał odgadnąć moje myśli, nastawiając muzykę - powiedział Kane. - Zatańczysz ze mną?

- Wiesz, to i owo potrafię, ale taniec nie należy do moich mocnych stron.

- Pierwsza drużna musi umieć tańczyć.

- To nieważne, wszyscy i tak będą patrzeć tylko na Jackie.

- Bardzo w to wątpię. To, że Jackie będzie panną młodą, nie uczyni z niej najatrakcyjniejszej kobiety w sali - zauważył, biorąc ją w ramiona. - Zatańcz ze mną.

Susannah poczuła dziwną słabość i nagle zapragnęła, aby znowu ją pocałował.

Niech to diabli, pomyślała, jestem w prawdziwym kłopotcie. Bo chociaż Kane mówił dotąd tylko o pocałunkach i tańczeniu nad jeziorem, ona widziała, że zanoszą się na coś więcej. Zanadto ją pociągał ten tajemniczy mężczyzna, który zjawił się nie wiadomo skąd i za parę dni miał na zawsze zniknąć z jej życia.

To prawda, ale czy stanie się coś złego, jeżeli pozwoli sobie na chwilę przyjemności? Rozkosznego zapomnienia? Nie zastanawiając się więcej, przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Dzięki, Susannah - wyszeptał jej do ucha. - Rozluźnij się i poddaj melodii, a ja będę cię prowadził.

Tańczyli przez dłuższą chwilę. W zalegającej jezioro ciszy słychać było tylko daleką melodię i ich zmieszane oddechy. Nagle w konarach drzew rozległ się obcy dźwięk: głos jakiegoś ptaka, sprowadzając ją na ziemię. Uświadomiła sobie, że nie może sobie pozwolić na to, co od paru minut chodziło jej po głowie. Wesele Jackie odbędzie się dopiero za kilka dni i do tego czasu wszystko jest na jej głowie. Jej własne przyjemności muszą poczekać, aż będzie naprawdę wolna.

- Nie, nie mogę. To nie był dobry pomysł - wyszeptała, wrywając się z jego ramion.

- Taniec w lesie to zły pomysł? Co w tym złego?

- Dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej niż taniec.

- A jeśli nawet, to co?

Susannah odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem do jego samochodu. Kane podążył za nią wraz z biegnącym przy jego nodze Łazęgą.

- Odwieź mnie do salonu. Mam mnóstwo papierkowej roboty - poprosiła, nie odwracając się za siebie.

- Musisz czasami zrobić sobie chwilę wytchnienia. Susannah zatrzymała się gwałtownie.

- Kto cię prosił, żebyś udzielał mi rad, jak mam żyć? - wyrzuciła z siebie. - Jakoś sama sobie dotąd radziłam, bez twojej pomocy!

Jej wybuch zamknął mu na chwilę usta.

- No dobrze, niech ci będzie - rzekł w końcu. - Nie powiem więcej ani słowa.

Susannah w końcu się uśmiechnęła.

- To najmądrzejsza rzecz, jaką dziś powiedziałeś - mruknęła pojednawczym tonem.

Po odwiezieniu Susannah do „Spa” Kane'owi nie chciało się wracać do chaty. Pokręciwszy się po mieście, zaparkował przed pubem Flanagana, wszedł do środka i usiadł za barem.

- To ty jesteś przyjacielem Paula, no nie? - zwrócił się do niego barman.

- Ano, przyjechałem na jego wesele.

- Dobry chłop z tego Paula. Jackie to też dobra dziewczyna. - Barman wyciągnął rękę. - Mów mi Larry.

- Cześć, Larry, jestem Kane - odparł, ściskając podaną rękę. - Wynająłem jedną z tych chat nad jeziorem.

- Słyszałem. - Larry wsparł się o bar. - Jeździłem tam kiedyś z synem na ryby - dodał z westchnieniem.

- Współczuję, Larry. Paul mówił mi, co cię spotkało.

- Oj tak, tak, to ciężki cios. Ale wiesz, w takim małym miasteczku człowiekowi łatwiej wszystko znieść. Ludzie są serdeczni, jesteśmy jak jedna rodzina, nie uważasz?

- Z całą pewnością - przytaknął Kane, chociaż przed przyjazdem nie przyszłoby mu do głowy, że już po paru dniach mieszkańcy Chapel Ridge staną mu się bliźsi niż najbliżsi współpracownicy z jego własnego przedsiębiorstwa.

- No, nie będę ci zwracał głowy swoimi kłopotami - zreflektował się Larry. - Czego się napijesz?

Kane już miał poprosić o piwo, ale spojrzawszy przez okno zobaczył, że Susannah wychodzi z salonu z trzema psami na smyczy, i szybko poderwał się na nogi.

- Dzięki, ale może innym razem. Do zobaczenia, Larry. - To powiedziawszy, wybiegł z pubu i, wypuściwszy Łazęgę z samochodu, dogonił dziewczynę.

- Myślałam, że wracasz do chaty - zauważyła.

- A ja myślałem, że utkniesz w papierkach.

- Poza salonem prowadzę schronisko dla psów, które trzeba trzy razy dziennie wyprowadzać na spacer.

- O tej porze? Sama?

- Tu nie Nowy Jork ani Chicago. W Chapel Ridge nic mi nie grozi.

- Czy pozwolisz sobie pomóc, jeśli powstrzymam się od udzielania ci życiowych rad? - zapytał.

- Sama sobie poradzę.

- Wiem, niemniej chciałbym się na coś przydać. - Nie czekając na odpowiedź, delikatnie wyjął jej z rąk jedną ze smyczy.

- Jeszcze dwa dni temu nie potrafiłeś iść z psem u nogi.

- Szybko się uczę - odparł z przechwałą w głosie, przekładając smycz do lewej ręki. Na swoje nieszczęście nie przewidział reakcji Łazęgi, który, widząc swego pana z obcym psem, z groźnym warczeniem rzucił się na intruza, a ten nie pozostał mu dłużny.

- Źle wybrałeś - ze śmiechem zauważyła Susannah. - Lepiej poprowadź suczkę - dodała, wtykając mu do ręki smycz, na której prowadziła białą terierkę. - Dexter jest samcem, a dwa samce razem to prosta droga do awantury.

- Wiem coś na ten temat.

Psy się uspokoiły i przez chwilę szli w milczeniu.

- No proszę, teraz idziemy jak zgodna rodzina - zauważyła Susannah.

- Tyle że zwierzaki mają nad nami wyraźną przewagę liczebną.

- Boisz się tego? - spytała podchwytliwie.

- Niczego się nie boję.

- Naprawdę? Każdy ma coś, czego się obawia - odparła, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

Kane zatrzymał się nagle i stanął naprzeciw niej.

- Chcesz wiedzieć, czego się obawiam? - zapytał, wolną ręką ujmując jej podbródek. Susannah w milczeniu skinęła głową. Serce biło jej jak szalone. - Kobiety, która zasługuje na wiele więcej, niż mogę jej ofiarować.

- Ale ja niczego od ciebie nie chcę.

- Chcieć a zasługiwać na coś to dwie różne rzeczy. A ty zasługujesz na to, żeby złożyć ci cały świat u stóp. - Pochylił się i pocałował ją w usta.

Świat zawirował. Chciała się do niego przytulić, lecz zniecierpliwione psy zaczęły szczekać i szarpać smycze. Susannah natychmiast się opamiętała.

- Chodźmy, zanim obudzą całe miasto - szepnęła.

- Zaraz pójdziemy, ale powiedz mi najpierw, co widzisz w tym złego - rzekł i pocałował ją ponownie.

- Nic. - Bo też pokusa, by mu ulec, niemal przekraczała jej siły. Na szczęście nad innymi względami wziął górę obowiązek w postaci domagających się spaceru psów.

Skierowali się teraz w stronę miejskiego parku.

- Nikt przecież nie mówi o trwałym związku - odezwał się Kane po przejściu następnych kilkunastu kroków. - Ja wyjadę za parę dni, ty też. Proszę tylko o kilka wspólnie spędzonych miłych chwil. Czy to takie okropne?

Poczuła lekki ból, bo chociaż sama nie chciała się z nikim wiązać, to jednak takie ograniczenie ich stosunków do paru dni wcale nie było przyjemne. Niemniej odparła:

- Oczywiście, że nie.

- To się świetnie składa. Ponieważ chcę cię prosić o przysługę.

- O przysługę? - zdziwiła się Susannah.

- Właśnie tak. Bo widzisz, moje wakacje nie spełniły dotąd moich oczekiwań, a ty jesteś jedyną osobą, która mogłaby to zmienić. Zamierzam zaproponować ci pewien układ, który powinien zadowolić zarówno mnie, jak i ciebie. Co ty na to?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- I co, według ciebie, miałabym zrobić? - zawołała Susannah, nie wierząc własnym uszom.

Poważną rozmowę na temat zapowiedzianej propozycji Kane'a podjęli dopiero po odprowadzeniu psów do schroniska i zamknięciu salonu na klucz. Stali teraz na ulicy, pośrodku miasteczka, którego mieszkańcy już dawno ułożyli się do snu.

- Proszę cię, żebyś mnie nauczyła żyć jak zwyczajny człowiek.

- Dotąd się tego nie nauczyłeś?

- Jestem... typowym kawalerem. Nie umiem funkcjonować na własną rękę - wybąkał. - Mnóstwa zwyczajnych rzeczy nie umiem robić.

- Na przykład jakich?

- Na przykład nie umiem rozpalić ognia w kominku. Wczoraj o mało nie umarłem przez to z zimna. - Zamilkł na sekundę, po czym dodał z uśmiechem: - No i chciałbym się nauczyć puszczać kaczki na wodzie.

- Chyba żartujesz.

- Ani trochę. Mówię jak najpoważniej. Jestem gotów dobrze zapłacić za naukę.

- Chcesz mi za to płacić? - Dziesięć minut temu mówił o całowaniu i najwyraźniej usiłował ją uwieść, a teraz proponuje honorarium za pomoc w spędzeniu wakacji. Nie wiedziała, doprawdy, co myśleć o tym zagadkowym mężczyźnie, który miał w sobie nieodparty czar. Na ile może mu zaufać?

- Rozumiem, oczywiście, że będzie to kolidowało z twoją normalną pracą i jestem gotów sownie wszelkie straty zrekompensować. - Zamilkł na moment, jakby coś w myślach obliczał. - Ile zarabiasz w salonie? Sto dolarów na godzinę?

- Coś koło tego.

- Więc proponuję trzysta za godzinę.

Zaparło jej dech w piersiach. Trzysta dolarów za godzinę? Ponad dwa tysiące dolarów za dzień pracy?

- Chyba zwariowałaś! Jesteś jakimś bogaczem czy co?

- Uhm... ja... Długo oszczędzałem, żeby na wakacjach niczego sobie nie odmawiać - wymyślił szybko.

- Na tych wspaniałych wakacjach w Chapel Ridge w stanie Indiana? -

Parsknęła śmiechem. - I jesteś gotów płacić nie wiem ile za to, żebym cię uczyła najzwyklejszych rzeczy na świecie?

- Czy to znaczy, że odrzucasz moją propozycję?

- Tego nie powiedziałam, zastanawiam się tylko, czy masz dobrze w głowie - odparła.

- Nie martw się o moją głowę. Powiedz, że się zgadzasz. - Kane wyciągnął z kieszeni portfel. - Może być w gotówce? - zapytał.

O rany boskie, on wcale nie żartuje.

Susannah otworzyła szeroko oczy na widok grubego pliku studolarowych banknotów. Jeśli nie będzie rozrzutna, wystarczy na wypad do Londynu, a może nawet do Włoch.

- Nosisz przy sobie taką furę pieniędzy?

- Nie lubię kart. - Była to oczywista nieprawda, ale trudno. Włożył jej do ręki plik banknotów.

- To... to jakieś wariactwo. Nie mogę tego przyjąć - wymamrotała.

- Zostało mi mało czasu, a do tej pory jedyne, co mi się udało, to nie umrzeć z głodu i zimna i znaleźć psa przybłądę, którego wcale nie chciałem - odparł Kane. - Chciałbym pozostałych parę dni wykorzystać najlepiej, jak to jest możliwe, czyli z tobą. - Podszedł bliżej i popatrzył jej w oczy. - Czy nie będzie wspaniale spędzić te chwile razem, niczego nie planując i o nic się nie troszcząc?



Susannah odpowiedziała spojrzeniem, które zaparło mu dech w piersiach. Miał ochotę chwycić ją w ramiona i obsypać pocałunkami, ale się powstrzymał. Pomyślałaby, że chodzi mu tylko o to, a tak nie było.

- No cóż, mogę poprosić Tess, żeby zastąpiła mnie w salonie - odparła z wahaniem.

- A co z twoją siostrą i jej weselem?

- Niech Jackie sama się zajmie weselem, w końcu to ona wychodzi za mąż - oświadczyła.

- Mówisz poważnie? - spytała Susannah zdumiona.

- Jak najpoważniej.

- W porządku. W końcu to twoje pieniądze. - Podała mu narzędzie. - Kop tutaj.

Podniecony Kane wbił szpadel w ziemię, podważył i przewrócił skibę. W wykopanym dołku zakotłowało się od pędaków.

- Zwycięstwo! - wykrzyknął. Susannah parsknęła śmiechem.

- Patrząc na ciebie, można by pomyśleć, że dokopałeś się do żyły złota.

- Może to wariactwo, ale naprawdę tak się czuję. - Pomagając sobie pokrywką, zebrał robaki do pudełka. - No to idziemy na ryby. Tym razem naprawdę.

Zabrawszy wzgardzone wczoraj wędkę i resztę sprzętu, różnym krokiem ruszył w kierunku jeziora. Susannah szła obok, nie mogąc się temu wszystkiemu nadziwić.

- Naprawdę nigdy nie wędkowałeś?

- Już ci mówiłem, że w moim życiu nie ma miejsca na rozrywki. - W jego kieszeni odezwał się telefon komórkowy, po raz czwarty tego ranka. Susannah nie знаła nikogo, kto otrzymywałby tyle telefonów co on, a jednocześnie nigdy ich nie odbierał. Również i tym razem Kane spojrzął tylko na wyświetlony numer, wyłączył komórkę i schował ją do kieszeni. - Co teraz?

- Trzeba nadziać robaka na wędkę. - Wprawnym ruchem pokazała mu, jak się to robi.

- Nie brzydzisz się? - spytał z podziwem.

- Przywykłam. Od dzieciństwa chodziłam z ojcem na ryby. - Susannah tęsknym wzrokiem powiodła po tafli jeziora, przypominając sobie bez troskie letnie popołudnia spędzane tutaj z ojcem. Czując zbierające w oczach łzy, szybko stłumiła te wspomnienia. - Zresztą zawsze wolałam bardziej chłopięce niż czysto dziewczynskie rozrywki - dodała.

- W takim razie jesteś dla mnie idealną partnerką. - I zaraz dodał: - Rzecz jasna, na tych parę dni wakacji.

- Jasne.

Bo przecież nie chodzi mu o nic więcej. Ani ona niczego więcej od niego nie oczekuje. Czy na pewno?

Oczywiście. Ma własne plany, w których nie przewidziała miejsca na wiązanie się z mężczyzną, nawet takim, który ma błękitne uwodzicielskie oczy i figlarny uśmiech.

Kane z trudem nadział robaka na haczyk i spróbował za przykładem swej towarzyszkii zarzucić wędkę, która jednak wylądowała tuż przy brzegu.

- Pokażę ci, jak to się robi - rzekła Susannah, stając za jego plecami, by udzielić mu pogładowej lekcji.

Gdy prawą ręką ujęła nadgarstek jego prawej ręki, a lewą nadgarstek ręki lewej, otarli się o siebie, Kane odwrócił głowę, ich usta zetknęły się na moment. Czy ona pocałowała jego, czy on ją? Gdyby była mądrzejsza, natychmiast by się cofnęła. Czując, że lekcja zarzucania wędki zmienia się w coś całkiem innego. Utrzymując z Kane'em fizyczny kontakt, zarzuca wędkę na samą siebie. Niemniej kontynuowała naukę, mówiąc:

- Cofasz prawą rękę najdalej, jak możesz...

- Czy tak? - spytał zmienionym głosem.

- Tak. - Ramię Kane'a otarło się o jej piersi, przyprawiając ją o zmysłowe drżenie. - A teraz bierzesz rozmach i z całej siły wyrzucasz wędkę.

- Czy tak? - powtórzył Kane, dokładnie wykonując jej polecenie i tym samym odrywając się od jej ciała.

- Doskonale - odparła, odsuwając się od niego z lekkim uczuciem zawodu. - Udało się.

- Dzięki. A co teraz?

- A teraz siedzimy i czekamy.

- No to porozmawiajmy dla zabicia czasu - oświadczył Kane po namyśle. - Dlaczego wybierasz się właśnie do Paryża? Sądząc po plakatach na ścianach salonu, będzie to pierwszy etap twojej podróży. Dlaczego właśnie Paryż?

Nieco zaskoczona tym pytaniem, Susannah chwilę siedziała w milczeniu, patrząc na jezioro.

- Jadę do Paryża, ponieważ moi rodzice mieli tam spędzić swój miodowy miesiąc - odrzekła wreszcie. - Tak w każdym razie planowali. Niestety, kilka dni przed ich ślubem dziadek, ojciec taty, doznał wylewu i musieli po nim przejąć pracę na farmie. Farmerzy harują od rana do nocy, ich praca nigdy się nie kończy. W rezultacie nigdy nie odbyli swojej wymarzonej podróży do Europy.

- Znam kogoś, kogo spotkał podobny los - wtrącił Kane. - Mój stryj umarł za biurkiem w gabinecie, w którym spędził prawie całe życie. Dlatego postanowiłem wyrwać się bodaj na kilka dni.

- No to mamy jednak z sobą coś wspólnego - rzekła z uśmiechem. - Dlatego wybrałam sobie rodzaj pracy dający znacznie większą swobodę niż praca na roli. Żeby móc się kiedyś wyrwać stąd i zobaczyć kawałek świata. Niestety, podróże kosztują. - I z uśmiechem dodała: - Na szczęście mam teraz bardzo lukratywne zajęcie.

Kane poruszył wędką.

- No i na początek zobaczysz jedno z najpiękniejszych miast świata.

- Znasz Paryż? - zapytała.

- Tak. To znaczy byłem tam, ale tylko w interesach.

- Musisz mieć wysokie stanowisko w jubilerskiej branży, żeby jeździć służbowo do Paryża.

Kane za całą odpowiedź wydał z siebie nieokreślony pomruk. Na szczęście biało-czerwony spławik jego wędki właśnie podskoczył.

- Chyba coś mam! - wykrzyknął, chwytając za korbkę.

- Poczekaj! Porusz wędką i czekaj. - Kane zrobił, jak kazała. - Czujesz coś?

- Tak, szarpie.

- No to wyciągaj!

Po chwili z wody wyłonił się spory okoń.

- Hurra! - wykrzyknął Kane. - Moja pierwsza ryba!

- Będziesz miał dobrą kolację.

- Nie, nie, mnie chodzi o samo wędkowanie. Nie biorę jeńców - odparł Kane, uwalniając rybę z haczyka i wpuszczając ją z powrotem do jeziora. - Uciekaj, mały!

- Zadowolony z siebie, wyprostował się i popatrzył na Susannah. - No to próbujemy dalej.

Roześmiała się.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że płacisz mi za coś takiego.

- A ja wciąż nie mogę uwierzyć, że znalazłem tak znakomitą instruktorkę, nie mówiąc już o dodatkowych korzyściach. - To powiedziawszy, pocałował ją w usta, wstał i poszedł po następnego robaka.

Dodatkowe korzyści? Traktuje ją jak część wykupionego w agencji pakietu turystycznego? No trudno, nie warto się tym przejmować. Jeszcze tylko parę dni. Ale czy naprawdę chciała, by wyjechał?

W ciągu następnych paru kwadransów Kane złowił jeszcze cztery ryby, a Susannah trzy. Wszystkie wypuścili z powrotem do jeziora.

- No jak, masz dosyć? - zapytała.

- Chyba tak. Nie masz pojęcia, ile sprawiłaś mi radości. - Chciał jej podziękować pocałunkiem, kiedy komórka w jego kieszeni znowu się odezwała i

Kane zdał sobie nagle sprawę, że w trakcie wędkowania w jego sercu narastało coś znacznie głębszego niż podziw i sympatia dla towarzyszącej mu dziewczyny: coś niebezpiecznie zbliżonego do prawdziwego uczucia. I co on ma teraz z tym uczuciem zrobić? Jak pogodzić Chapel Ridge w Indianie z wielką firmą jubilerską? I jak Susannah Wilson przyjąłaby wiadomość, że została okłamana przez nowojorskiego miliardera?

- Odbierz, bo ja i tak muszę wyprowadzić psy na spacer - rzekła Susannah, wstając z ziemi. - Do zobaczenia później.

Schyliła się i pocałowała go w policzek. Był to czysto przyjacielski niewinny pocałunek, kompletnie nieznan w świecie pieniędzy i biznesu, w jakim Kane normalnie się obracał. Odprowadził odchodzącą dziewczynę tęsknym wzrokiem. Pies przybłąda cicho Zaskowyczał.

- Rozumiem cię, stary, bo sam czuję to samo - mruknął Kane.

Komórka uparcie wygrywała swoją melodyjkę. Kane patrzył przez chwilę na jezioro, potem wyjął telefon z kieszeni, zamachnął się i cisnął go wodę.

- Suzie, ratuj! Musisz do mnie przyjechać.

- Nie mam czasu, Jackie. Właśnie wychodzę i...

- Suzie, nie wiem, co robić. Chodzi o Paula. Susannah wzniosła oczy do nieba.

No tak, kolejny kryzys.

Który to z kolei?

- Co się stało?

- Paul odwołał ślub.

- Jak to? Dlaczego?

W słuchawce rozległ się szloch.

- Powiedział, że zanadto się pospieszyliśmy, bo mamy za mało pieniędzy i... i musimy poczekać, aż zaoszczędzimy na kupno większego domu. Ale ja nie chcę czekać, Suzie... Kocham go.

Między Paulem i Jackie wiele razy dochodziło do podobnych konfliktów. Paul liczył się z każdym groszem, podczas gdy lekkomyślna Jackie za nic nie umiała żyć oszczędnie, zwłaszcza teraz, gdy zbliżał się jej wielki dzień. Susannah od lat na próżno próbowała nauczyć siostrę szacunku dla ciężko zarobionych pieniędzy.

- Uspokój się, kochanie, to tylko nerwy, wszystko będzie dobrze - powiedziała do słuchawki.

- Tym razem to coś więcej. Proszę cię, Suzie, przyjedź do domu, bo sama chyba zwariuję - upierała się Jackie.

- Nie jesteś w pracy?

- Chyba żartujesz! Po tym, co mi powiedział Paul, nie byłabym w stanie pracować. Zadzwoiłam i powiedziałam, że jestem chora.

Susannah jęknęła z rozpaczy. Kiedy ta Jackie nauczy się odpowiedzialności!

- Nie możesz tak robić, kochanie. Ty i Paul potrzebujecie pieniędzy. O to przecież chodzi.

- Ja... no tak... ale... - bąkała Jackie.

- Ale co? Jedź do pracy, bo to najlepszy sposób, żeby przekonać Paula, że traktujesz go poważnie. - Nie uzyskawszy odpowiedzi, dodała: - Jestem zajęta, nie mogę dłużej rozmawiać. Pogadamy, jak wrócisz wieczorem.

- To niemożliwe, Suzie! Nie mogę jechać do pracy, kiedy moje życie się rozpada!

- Posłuchaj, kochanie - podjęła Susannah, siląc się na cierpliwość. - Praca recepcjonistki w zakładzie papierniczym nie wymaga wysiłku ani skupienia, dasz sobie radę.

- Nie masz serca, Suzie. Gdyby mama żyła, na pewno by się mną zajęła. Znalazłaby dla mnie czas.

To było okropnie nie fair. Susannah przymknęła oczy i policzyła do dwudziestu. Nie, nie da się kolejny raz wpędzić w poczucie winy. Nie rzuci wszystkiego, żeby biec lekkomyślnej siostrze na ratunek.

Kane nie przypuszczał, że nagonka rozpocznie się tak szybko. Z ciężkim westchnieniem wyrzucił gazetę do ulicznego kosza na śmieci. Nadal jednak miał przed oczami notatkę - na szczęście wydrukowaną małym drukiem na ostatniej stronie - o zniknięciu naczelnego dyrektora firmy Lennox Gem.

Ojciec musi być nie na żarty wyprowadzony z równowagi, skoro zdecydował się na zawiadomienie prasy. Kane odruchowo sięgnął po komórkę, ale przypomniał sobie, że parę godzin temu wylądowała na dnie jeziora. I bardzo dobrze.

Gdyby zadzwonił, ojciec natychmiast wysłałby po niego limuzynę.

Zmierzał do sklepu z narzędziami, ale już po paru krokach dostrzegł Susannah stojącą na chodniku przed „Spa”. Ona też go dostrzegła i szybko się zbliżyła.

- Przepraszam, Kane, ale nie mogę ci poświęcić dzisiejszego popołudnia - oznajmiła, sięgając do torebki. - Zaraz zwrócę ci pieniądze.

- Zatrzymaj je. Odrobimy to jutro. Co się stało?

- Jackie wpadła w histerię.

- Mam nadzieję, że to nie koniec świata.

- Oczywiście, że nie - roześmiała się Susannah. - Ale Paul przestraszył się rosnącej góry rachunków. Zresztą nie po raz pierwszy. I odwołał wesele. Też nie pierwszy raz.

- No, no - mruknął Kane, przypominając sobie, co mu Paul mówił w pubie o rozrzutności swojej narzeczonej.

- Moja siostra ma, delikatnie mówiąc, beztroski stosunek do pieniędzy. No to na razie, muszę lecieć ją pocieszyć. - Kładąc mu delikatnie rękę na ramieniu, dodała:

- Dziękuję za wyrozumiałość.

Powinien pozwolić jej odejść, to są w końcu ich rodzinne sprawy. Nie powinien się w nie angażować. Za kilka dni już go tu nie będzie. Wróci do swego świata, w którym panują zupełnie inne zwyczaje.

Musi myśleć realnie. Romans z Susannah nie ma najmniejszych szans na spełnienie się, niezależnie od tego, jak bardzo by tego pragnął. To tylko marzenie. Niemniej częstąką siebie nadal łudził się, że... nie jest to jedynie marzenie.

- Susannah, poczekaj!

Przystanąła.

- Co takiego?

- Może ci się na coś przydam. Mam pewne doświadczenie w sprawach finansowych.

Na widok uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz, poczuł, że ma poważny problem. Problem, którego żadne pieniądze nie rozwiążą. Ponieważ zapragnął pogodzić ze sobą dwa diametralnie odmienne światy.

Jackie była w stanie hysterii.

Siedzieli we trójkę w kuchni. Nalewając herbatę i podając ciasteczka, Susannah powoli wyciągnęła z siostry, co się stało. Paul bynajmniej nie odwołał wesela, ale między narzeczonymi doszło do kolejnej sprzeczki o nieprzewidziane wydatki, co Jackie potraktowała jako zapowiedź nieuchronnej klęski ich małżeństwa,

- Co ja mam robić? - popłakiwała Jackie. - Paul w ogóle mnie nie słucha. Ciągłe mówi tylko o pieniądzach.

- Musisz być bardziej odpowiedzialna. Pieniądze nie biorą się z powietrza - pouczyła ją Susannah.

- Przestań mi prawić kazania, Suzie. Nie chcę dłużej słuchać o oszczędzaniu. To zbyt nudne.

- Pozwól, moja droga, że coś ci powiem - zaczął Kane poważnym tonem. - Jeżeli nie zaczniesz podchodzić poważnie do spraw finansowych, może się to dla ciebie skończyć bardzo smutno.

Odsunął krzesło i usiadł. Obie kobiety, zarówno Susannah, jak i Jackie, patrzyły na niego w milczeniu: Susannah z nadzieją w oczach, natomiast Jackie z



taką miną, jakby zobaczyła ciełą z dwoma głowami. Trzeba mu jednak przyznać, że potrafił przykuć uwagę tej ostatniej.

- Na to, żeby małżeństwo mogło funkcjonować, trzeba zadbać o pieniądze.

Nie mam na myśli jakichś szalonych sum, ale trzeba mieć na opłacenie rachunków i odłożenie czegoś na przyszłość. Na emeryturę.

- Do emerytury mamy jeszcze mnóstwo czasu - lekceważącym tonem oświadczyła Jackie.

- Oczywiście, że macie czas, tym bardziej warto jak najwcześniej zacząć oszczędzać. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że odkładając po paręset dolarów rocznie, moglibyście zostać na starość milionerami?

- Milionerami? - Jackie zrobiła wielkie oczy. - Jakim cudem? Paul uczy w szkole, a ja jestem recepcjonistką. Nigdy nie dorobimy się milionów.

- Każdy może zostać milionerem, Jackie, jeśli będzie umiejętnie inwestował. Jeżeli nauczy się pomnażać swoje pieniądze.

- Pomnażać pieniądze, hm. - Zadumała się. - Naprawdę można się w ten sposób dorobić milionów?

- Tak.

- A jak się do tego zabrać? - Sięgnęła po zeszyt, otworzyła go na czystej stronie i z długopisem w ręku spojrzała na Kane'a wyczekującym wzrokiem.

Susannah nie posiadała się ze zdumienia, słuchając, jak Kane z szybkością karabinu maszynowego recytuje informacje na temat gospodarowania pieniędzmi i najlepszych sposobach inwestowania. I widząc, z jakim zapalem jej siostra zapisuje jego uwagi. Może to tylko słomiany ogień, myślała, ale dobrze przynajmniej, że Jackie po raz pierwszy w życiu słucha czyichś rad.

Po skończonym wykładzie oświadczyła:

- Zaraz zadzwonię do Paula i powiem, że mam... jak to się nazywa?

- Długoterminowy plan oszczędnościowo-inwestycyjny.

- No właśnie. Może przestanie się martwić wydatkami na ślub, kiedy mu o tym powiem - rzekła z nadzieją w głosie.

- Powinno wam się udać, ale musicie się konsekwentnie trzymać planu - upomniał ją Kane.

Rozradowana Jackie uściskała go i ucałowała w oba policzki, po czym pobiegła do telefonu.

- Dokonałeś cudu - stwierdziła Susannah. - W ciągu pół godziny udało ci się to, co ja od lat na próżno usiłuję osiągnąć.

- To nic wielkiego - roześmiał się Kane. - Po prostu podziałam jej na wyobraźnię. Jeśli nawet pierwszy zapal z czasem osłabnie, to i tak Paulowi będzie w przyszłości łatwiej się z nią dogadać.

- Już to będzie dla nas wszystkich prawdziwym błogosławieństwem. - To powiedziawszy, Susannah zabrała się do zmywania.

Zdała sobie sprawę, że Kane stoi za jej plecami, i znieruchomiała, czekając, co będzie dalej. Czy ją pocałuje? A może po prostu odejdzie?

Nie odszedł. Poczowała dotyk jego palców na szyi. Z wolna przesuwali się po jej karku i ramionach. Susannah zadrżała. On tymczasem odgarnął jej włosy i zaczął wargami muskać jej szyję.

W jednej chwili zapomniała o bożym świecie. Zapomniała o siostrze i o jej kłopotach. Wszelkie powody, dla których nie powinna zbliżać się do Kane'a, nagle stały się nieważne. Jęknęła cicho, a on odwrócił ją twarzą do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy, delikatnie gładząc palcami jej policzki. Czekala z rozchyłonymi wargami na pocałunek, a gdy schylił głowę, zamknęła oczy.

- Co powiesz na to, żebyśmy wrócili do naszych wcześniejszych zajęć? - zapytał z uwodzicielskim uśmiechem, prostując się po długiej chwili.

- A co robimy teraz?

Kane zaśmiał się cicho.

- O ile dobrze pamiętam, miałaś mi udzielać życiowych nauk - odparł.

- A czego chciałbyś się teraz nauczyć?
- Jak rozpalać ogień - rzekł, muskając jej usta.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Dojeżdżając do chaty, Kane zahamował z głośnym piskiem opon. Niech to diabli! - zaklął w duchu na widok majaczącej na ganku, częściowo przesłoniętej gałęziami drzew postaci. Czyżby go znaleźli?

- Poczekaj chwilę w samochodzie - powiedział do Susannah.

Jak jej się wytłumaczy ze swoich kłamstw? - myślał rozpaczliwie, kierując się ku chacie.

Po chwili jednak okazało się, że na ganku czeka na niego pani Maxwell. Czyżby przeczytała notatkę w gazecie i rozpoznała w nim zaginionego Kane'a Lennox'a i dała znać ojcu, gdzie ma go szukać?

- Dzień dobry pani. Miło mi panią widzieć.

Kobieta pochyliła się, by pogłaskać Łazęgę, który wpadł w podskokach na ganek.

- Dzień dobry. Widzę, że już się pan przywiązał do zabłąkanego psa. Jak go pan nazwał?

- Nie zamierzam go przygarnąć. Miałem nadzieję, że słyszała pani o właścicielu poszukującym psa.

- Niestety, nikt się dotąd nie zgłosił. Szkoda, że nie chce, pan zatrzymać takiego miłego pieska.

Pani Maxwell najwidoczniej nie odkryła jego tożsamości, pomyślał nieco uspokojony Kane.

- Chyba wywieszę ogłoszenia w centrum miasta.

- Dobra myśl - powiedziała. - Przyjechałam, bo mam dla pana przesyłkę - dodała, podając mu dużą białą kopertę. - Już miałam zostawić ją na ganku, kiedy pan akurat zajechał.

- Bardzo dziękuję - odparł Kane, biorąc kopertę.

- Nie otworzy pan? - zapytała. - To u nas wielka rzadkość, żeby ktoś z letników dostawał listy.

- Wiem, co w niej jest. Spodziewałem się przesyłki. - Wiedział od początku, że ojciec nie spocznie, dopóki go nie wytropi. Elliott Lennox zawsze stawia na swoim.

- No to wracam do swojego biura - oświadczyła pani Maxwell. Schodząc z ganku, zatrzymała się na najniższym stopniu schodów. - To chyba Susannah Wilson w pańskim samochodzie, no nie? Miła dziewczyna, do tego niezamężna.

- Jeszcze raz dziękuję, że się pani fatygowała - powiedział Kane, sięgając do kieszeni po pięciodolarowy banknot i podając go wścibskiej kobiecie.

- Co też pan! - oburzyła się. - Nie zrobiłam tego dla napiwku. My tu w Chapel Ridge nie oczekujemy zapłaty za drobne przysługi. - Po tym oświadczeniu zeszła z ganku i podeszła do swego samochodu, pomachawszy po drodze do siedzącej w aucie Kane'a Suzie.

Kiedy odjechała, Susannah wysiadła i wyjęła torbę z kupionym po drodze gotowym jedzeniem na wynos.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tylko przesyłka z pracy, nic ważnego.

- Musisz być w tym swoim jubilerskim sklepie wysoką szyczą, żeby na wakacjach dostawać pilne przesyłki - z nieukrywanym zdziwieniem zauważyła Susannah.

Kane zaklął w duchu. Znowu za dużo gada.

- Umieram z głodu. Co byś powiedziała na wczesną kolację? - powiedział, chcąc jak najszybciej zmienić temat. - Ale najpierw naucz mnie rozpalać ogień.

- Bardzo proszę. Masz zapalki i drzazgi na podpałkę?

- Chyba wszystko gotowe. Zresztą sama sprawdź.

Susannah podeszła do kominka, a on zerknął na kopertę z nowojorskim adresem nadawcy i twarz mu spochmurniała. Znowu poczuł się niewolnikiem swego porzuconego na kilka dni życia.

Gdy płomień kominka oświetlił jego twarz, Susannah uważnie przyjrzała się Kane'owi. Był wyraźnie nieswój. Musi to mieć coś wspólnego z otrzymaną przesyłką. Odkąd weszli do chaty, miała wrażenie, że stara się zachować dystans, jakby zapomniał o wszystkim, co ich w ostatnich dniach do siebie zbliżyło. Jakby nie chciał jej wtajemniczać w swoje sprawy.

- Przygotowałaś się na dzisiejszy wieczór? - zapytał, wyrywając ją z zamyślenia.

- Na co miałam się przygotować?

- Jak to? Na próbę w kościele. Paul powiedział mi przez telefon, że ma okropną treść.

- Paul się denerwuje? On się nigdy nie denerwuje, może tylko na rozrzutność Jackie.

Kane wstał od kominka, podszedł do kuchennego stołu i zaczął rozpakowywać przywiezione produkty.

- Szkoda, że go nie znałaś za studenckich czasów - rzekł znacznie pogodniejszym tonem. - Wtedy potrafił zaszaleć.

- A ty? Jaki ty wtedy byłeś?

- Na ogół byłem spokojny. I bardzo zdyscyplinowany.

- A już! Paul mi trochę opowiadał, na pewno nie o wszystkim, ale wiem, że nieźle rozrabiał. A ty byłeś jego najbliższym przyjacielem - mówiła Susannah, pomagając mu nakrywać do stołu.

Usiedli i zabrali się do jedzenia.

- Paul ma na pewno wiele do opowiedzenia. Znacznie więcej niż ja - po paru chwilach odezwał się Kane.

- Ale byliście podobno nierozłączni. Mieszkaliście drzwi w drzwi.

- Ale ja miałem... - zawahał się - rodzaj opiekuna.

- Opiekuna? Chuliganieś się czy co?

- Wcale nie. Ale ojciec uważał, że ktoś musi mnie pilnować.

- Coś takiego? W dzisiejszych czasach? - Susannah zrobiła wielkie oczy.

- Rodzice mieli wobec mnie duże oczekiwania. Spoczywały na mnie poważne obowiązki. - Rzucił okiem na leżącą na stole kopertę. - I nadal spoczywają.

- A ona ci o nich przypomina? - spytała, spoglądając znacząco na przesyłkę.

Kane zdał sobie sprawę, że znowu powiedział za wiele. Dosłownie zeszywniał.

Co się z nim dzieje? - pomyślała. Co ukrywa? Za każdym razem, kiedy próbowała czegoś się o nim dowiedzieć, miała wrażenie, że Kane zamyka się w sobie na cztery spusty. Prawdę mówiąc, miała tego dosyć. On wie o niej właściwie wszystko, a ona o nim dosłownie nic. To nie fair.

- Świetne jedzenie - odezwał się Kane. - Próbowalaś klopsa? Mam nadzieję, że kucharz da mi przepis.

O czym on mówi? Mają rozmawiać o klopsie?

- Gdzie ty żyjesz? Na księżycu? Nigdy nie jadłeś klopsa? - wykrzyknęła. - Moja mama robiła go na kolację przynajmniej raz w tygodniu. To samo było w domach wszystkich moich znajomych. To najbardziej popularne jedzenie, oczywiście poza hamburgerem.

- Moja mama preferowała inny rodzaj kuchni.

- To bardzo wyczerpująca informacja!

- O co ci chodzi? - zdziwił się Kane.

- To, że kompletnie nic o tobie nie wiem. Ilekroć próbuję się czegoś dowiedzieć, udzielasz podobnych odpowiedzi. Dowiedziałam się, że nigdy nie

chodziłeś boso po trawie, że będąc na studiach miałeś osobistego opiekuna, że miałeś surowego ojca i że w twoim domu nie jadało się klopsów. - Wstała gwałtownie od stołu i odstawiła talerz do zlewu. - W sumie wiem więcej o tym bezpiecznym psie niż o tobie.

Kane niepewnie poprawił się na krześle.

- Masz rację - odparł. - Jestem bardzo powściągliwy. - Niepokojnym ruchem przeczesał ręką włosy. - Czy jeśli ci coś o sobie powiem, zachowasz to dla siebie?

- Oczywiście.

- Wychowywałem się w bardzo bogatym domu - zaczął. - Dlatego nigdy nie miałem kontaktu z... z wieloma rzeczami. Nie jadałem klopsów ani sera kupowanego w plasterkach i nie nadziewałem robaków na wędkę - ciągnął z lekkim uśmiechem. - Tylko dzięki Paulowi spróbowałem jako student odrobiny normalnego życia i zaznałem nielicznych momentów wolności. Więc pewnego dnia pomyślałem, że najwyższy czas wyrwać się spod klosza i doświadczyć czegoś innego.

Zaproszenie Paula na ślub było dla mnie istnym darem z nieba. Okazją do poznania prawdziwego świata.

- Ale po weselu wracasz do tego, co nazwałeś swoim kloszem, czy tak?

- Tak.

- Żadnych obietnic, żadnych zobowiązań?

- Tak - odparł, patrząc jej szczerze w oczy.

Mogła więc teraz sobie powiedzieć, że, niezależnie od kielkujących gdzieś w zakątkach jej głowy nadziei czy oczekiwań, oprócz paru pocałunków i tańców podczas wesela niczego z jego strony nie musi się obawiać. No i bardzo dobrze, bo nic jej nie przeszkodzi wyjechać zaraz po ceremonii w swoją wymarzoną podróż. Ale chociaż wszystko na pozór układało się po jej myśli, Susannah czuła w sercu jakąś nieokreśloną pustkę. I zawód.

- W takim razie - zaczęła, siląc się na uśmiech - czego jeszcze chciałbyś doświadczyć przed wyjazdem?

- Chciałbym móc z tobą jeszcze raz zatańczyć - odparł Kane z podobnym wymuszonym uśmiechem.

Pastor odchrząknął i zerknął na zegarek.

- Nie wiesz, dlaczego się spóźniają?

- Nie mam pojęcia - odparła Susannah, spoglądając z nadzieją ku drzwiom kościoła.

Jednak ani Jackie, ani Paul w nich się nie pojawili. Druhny i drużbowie siedzieli już w komplecie po dwu stronach głównej nawy.

- Może zapomnieli.

- Zapomnieli o próbie ceremonii ślubnej? - zdumiał się pastor Weatherly.

- Spróbuję do niej zadzwonić.

Sięgnęła do torebki po komórkę i wybrała numer.

- Jackie, gdzie wy jesteście? - wyszeptała, kiedy po trzecim sygnale siostra wreszcie się odezwała.

- Hm, jak by ci tu powiedzieć, ja i Paul właśnie się godzimy - zachichotała Jackie.

- Więc przestańcie się godzić i przyjeżdżajcie do kościoła na próbę.

- Ojej, na śmierć zapomniałam! Paul, przestań! - Zachichotała znowu. - Och...

Przepraszam, Suzie, ale on...

Susannah myślała, że zapadnie się pod ziemię.

- Posłuchaj, Jackie, nie mam zamiaru tego dłużej wysłuchiwać. Macie natychmiast przyjechać, wszyscy na was czekają.

- Tak jest, siostrzyczko. Tyle że... jesteśmy w Indianapolis. Nie będziemy wcześniej jak za jakieś dwadzieścia minut. Albo nawet za pół godziny.

- Co was zaniósło do Indianapolis? - nie panując nad sobą, wykrzyknęła Susannah.



- Pojechaliśmy odebrać smokingi ze sklepu, który tak mi się spodobał, pamiętasz? No a potem zagadaliśmy się przy lunchu, a potem zatrzymaliśmy się tutaj.

- Jackie, to nie są żarty. Mieliście wyznaczoną próbę, czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Załatw to jakoś, Suzie. Postaramy się jak najszybciej przyjechać.

Susannah wydała z siebie ciężkie westchnienie.

- Nie mam wyjścia - rzuciła i wyłączyła telefon, po czym podeszła do pastora.

- Jackie i Paul są w drodze. Pojechali odebrać smokingi i utknęli w korku. Będą najdalej za pół godziny.

- Nie mogę tak długo czekać, za godzinę mam uroczystość pogrzebową - odparł pastor, kręcąc głową.

- A nie można przełożyć próby na jutro?

- Przykro mi, ale nie. Rano mam chrzciny, po chrzcinach inny ślub. - Pastor Weatherly zastanowił się chwilę. - A może dwie osoby spośród was odbędą próbę w ich zastępstwie? Potem mogłabyś im wszystko wytłumaczyć. - Pastor rozejrzał się po obecnych. - Potrzebuję drużny i drużby, którzy zastąpią Paula i Jackie. Kto na ochotnika?

Oczywiście siedzący w ławkach drużbowie jak jeden mąż spuścili oczy, unikając wzroku pastora. Tylko Kane poderwał się i podszedł do ołtarza.

- To chyba nasz obowiązek - oświadczył.

- Dlaczego nasz? - zaprotestowała Susannah.

On jednak wziął ją zdecydowanym ruchem za rękę i podprowadził do ołtarza.

- My ich zastąpimy, pastorze - oznajmił.

- Bardzo się cieszę. Mogę zapytać, jak się pan nazywa?

- Kane. Kane Lennox.

- Kane to chyba odmiana imienia Kain, prawda? Mam nadzieję, że nie zamierzasz pójść w jego ślady - żartobliwie zauważył pastor.

- Nie ma obawy, pastorze. Moje imię pisze się inaczej, a poza tym jestem jedynakiem.

- Tym lepiej - odparł pastor, śmiejąc się dobrodusznie. - No to zaczynamy. Ty, Kane, staniesz tutaj z lewej, a Susannah cofnie się do drzwi i przejdzie przez kościół do ołtarza.

- Czy to konieczne? - zaprotestowała Susannah.

- Tak, kochanie. Musimy przejść przez wszystkie etapy ślubu. Wiem, że zrobisz wszystko, żeby ślub Jackie wypadł jutro jak najlepiej. Zawsze byłaś idealną siostrą i opiekunką Jackie.

- No dobrze, w takim razie nie traćmy czasu. - Susannah posłusznie cofnęła się do drzwi, drużny ustawiły się za nią, a drużbowie stanęli za zastępcą pana młodego.

Na znak pastora siedząca na górze pani Maxwell zagrała pierwsze takty marsza weselnego.

Susannah ruszyła ze spuszczonej oczami, ale po chwili je podniosła i ujrzała utkwione w sobie spojrzenie Kane'a. Patrzył na nią z taką intensywnością, że aż zadrżała. A gdyby to był ich prawdziwy ślub? - przemknęła jej przez głowę szalona myśl.

Kane nadal nie odrywał od niej wzroku.

Przy ostatnich akordach Susannah zatrzymała się obok niego, podała mu rękę i razem podeszli do ołtarza.

- Pięknie wyglądasz - szepnął jej do ucha.

- Teraz ja wypowiem formułę: „Drodzy bracia i siostry, zebraliśmy się dzisiaj, żeby...” i tak dalej - oznajmił pastor Weatherly - a następnie odczytam odpowiednie fragmenty z Biblii, po czym wszyscy odśpiewamy hymn, który na tę okazję wybrała Jackie...

- Jackie wybrała hymn? - zdziwiła się Susannah.

- A tak - odparł pastor. - „Wielki jesteś, o Panie”.

- To był ukochany hymn naszej matki - szepnęła. Przypomniała sobie słodki głos matki nużącej ulubiony hymn i jej oczy napełniły się łzami. - Nie miałam pojęcia, że pamiętała.

Pocziwy pastor Weatherly popatrzył na nią z czułym wyrozumieniem.

- Pragnęła, aby wasza matka przynajmniej w ten sposób uczestniczyła w jej wielkim dniu - rzekł z powagą.

Susannah spojrzała z wdzięcznością na pastora. Przez moment miała wrażenie, że jej matka jest obecna w kościele i obserwuje swą starszą córkę z głębi chóru. Jednocześnie poczuła radość na myśl, że wbrew pozorom Jackie myśli nie tylko o zewnętrznych stronach swego wesela, ale przeżywa także jego głębszy sens. Szybko otarła łzy z oczu.

- Dziękuję, pastorze. Ale wracajmy do próby, wiem, że pastor ma dziś jeszcze pogrzeb. Czyj, jeśli wolno zapytać?

- Jerry'ego Linkhearta. Nie możesz go pamiętać, wyjechał stąd, zanim się urodziłaś. Wrócił niedawno, po przejściu na emeryturę. To bardzo smutne. W dodatku nie miał nikogo bliskiego oprócz wiernego psa. Dalsi krewni mówią, że Bandyta, bo tak wabił się pies, znikł zaraz po jego śmierci.

- Czy przypadkiem nie był to spaniel? - wtrącił Kane.

- Chyba tak - odparł pastor. - Jeśli się znajdzie, mam nadzieję, że Susannah zabierze go do schroniska i znajdzie mu dobrego opiekuna.

- Już się znalazł. A właściwie znalazł go Kane - wtrąciła Susannah.

- Ach, to świetnie - ucieszył się pastor. - Porozumiem się z rodziną i zapytam, czy zgadzają się, żeby Kane go zatrzymał.

- Ja właściwie...

- Będę bardzo wdzięczna - przerwała mu Susannah. Jeżeli Kane nie zechce zatrzymać Bandyty, sama znajdzie mu odpowiedni dom.

- No dobrze. Sprawa psa załatwiona, więc kontynuujmy próbę - rzekł pastor. - Po hymnie przychodzi najważniejsza część. Teraz Kane będzie składał przysięgę Susannah.

- To znaczy, Jackie - poprawiła go.

- Oczywiście. Chodzi o Jackie, w której roli występuje Susannah, i o Paula, którego zastępuje Kane. Pewnie nie chcecie, żebym to was przez pomyłkę pożenił - z żartobliwym uśmiechem zauważył pastor.

- Nie - jednym głosem odrzekli Susannah i Kane.

- No to tylko udawajcie, że jesteście Paulem i Jackie. Stańcie naprzeciwko siebie.

Patrząc na stojącego naprzeciw niej Kane'a, Susannah nie bardzo rozumiała, co się z nią dzieje. Wprawdzie odgrywali czyjeś role, ale ona miała wrażenie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czy byłoby aż tak źle, gdyby to oni brali ślub? Bo chociaż pamiętała o swoich marzeniach, w których nie było miejsca na trwały związek, to jednocześnie tajemniczy Kane budził w jej sercu gorące uczucia. Zwłaszcza odkąd zaczął jej się zwierzać ze swoich problemów, ukazując przy okazji, jak wrażliwym jest człowiekiem. Z zamyślenia wyrwał ją głos pastora.

- Teraz będę wam zadawał pytania, a wy będziecie na nie odpowiadać. Jasne?

- Oboje skinęli głowami, a pastor otworzył modlitewnik. - Susannah, czy bierzesz sobie tego oto mężczyznę za męża i przyrzekasz mu kochać go i szanować, w zdrowiu i chorobie, być mu wierną i nie opuścić go aż do śmierci?

Susannah z trudem przełknęła ślinę. Kochać go? I szanować? Być mu wierna aż do śmierci?

Nie, to wszystko przecież tylko na niby.

- Tak - wyrzekła przez ściśnięte gardło.

- Kane, czy bierzesz tę oto kobietę za...

- Przecież pastor wie, że Paul odpowie „tak” - przerwała mu Susannah.

Pastor lekko się uśmiechnął.

- Masz rację. Możemy to opuścić. Potem zwracam się do wiernych, a po odczytaniu kolejnych fragmentów Biblii przechodzimy do najważniejszej części - ciągnął. - Będziecie kolejno powtarzać za mną. Powiedzcie Paulowi i Jackie, że przed samym ślubem jeszcze raz przećwiczę z nimi tę część. Kane, weź Susannah za rękę. Gotowy?

Kane w milczeniu skinął głową.

Susannah podniosła wzrok i ujrzała wpatrzone w siebie jego przenikliwe niebieskie oczy. Kiedy zaczął powtarzać za pastorem słowa małżeńskiej przysięgi, ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku, w jej duszy działały się rzeczy doprawdy niesamowite. Pierwszym jej odruchem była chęć ucieczki. Nie uciekła tylko dlatego, że Kane trzymał ją za rękę. Kiedy przyrzekając, że nigdy jej nie opuści, mocniej uścisnął jej dłoń, Susannah znowu poczuła wewnętrzny dreszcz.

Po skończonej przysiędze w kościele zapanowała cisza. Susannah na próżno sobie tłumaczyła, że to tylko gra, udawanie. W głębi duszy czuła, że między nią a Kane'em coś się zmieniło.

Czyż nie marzyła o tym, by usłyszeć kiedyś te same słowa zwrócone do niej? Słowa, które otworzyłyby przed nią nowe i prawdziwe życie? Prawdziwe życie, z którego zrezygnowała, by poświęcić się wyłącznie trosce o przyszłe szczęście młodszej siostry?

Tutaj, w kościele, przeżyła przed chwilą swoje minuty z bajki. Minuty, podczas których wspaniały mężczyzna przysięgał jej dogonną miłość. Wiedziała, że to nieprawda, lecz teraz przymknęła oczy, by jeszcze przez kilka sekund śnić swoją baśń o szczęściu.

- A teraz kolej na ciebie, Susannah - usłyszała głos pastora. - Weź Kane'a za rękę i powtarzaj za mną: „W obliczu Boga Najwyższego, ja, Susannah, biorę ciebie, Kane'a, za męża...

Kane. Jej mąż...

Spróbowała otworzyć usta, lecz nie była w stanie wydobyć głosu. Ogarnął ją paniczny strach, miała wrażenie, że się dusi.

- Miałaś za mną powtarzać - upomniał ją pastor.
- Zmieniłaś zdanie i już mnie nie chcesz? - zapytał Kane z uśmiechem.
- Nie, nie mogę! - Wyrwała dłoń z ręki Kane'a. - Bardzo przepraszam.

Odwróciła się i wybiegła z kościoła. Gnała przed siebie coraz dalej i dalej, aż w końcu zatrzymała się na pustej rozległej łące za miastem.

Nie wyrzeknie się wolności, na którą tak długo czekała. Nawet za cenę bajkowego snu.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Co to było?

Kane nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przed chwilą czuł się tak, jakby on i Susannah naprawdę składali sobie przysięgę wierności aż po grób. A co najdziwniejsze, nie miał nic przeciwko temu, żeby to była prawda.

Stojąc naprzeciw niego przed ołtarzem wyglądała zachwycająco, jak anioł. Bijący od niej blask zdawał się opromieniać cały świat. Czy po tym, co się stało, będzie w stanie wrócić do Nowego Jorku... bez niej?

- Może to nie był najlepszy pomysł - zauważył pastor Weatherly, spoglądając na wstających z ławek i wychodzących z kościoła uczestników próby.

- Faktycznie nie najlepiej zareagowała - przyznał Kane.

- Susannah chyba nie lubi być ośrodkiem zainteresowania. - Pastor usiadł pod ołtarzem na najwyższym stopniu schodów i gestem zachęcił Kane'a do pójścia za jego przykładem.

Kane podejrzewał jednak, że reakcja dziewczyny miała całkiem inne podłoże. Jeżeli stojąc przed ołtarzem i słuchając słów uroczystej przysięgi przeżyła tylko dziesiątą część tego co on, to nic dziwnego, że uciekła.

- Może. Tak czy inaczej, Jackie nie powinna jej stawiać w takiej sytuacji.

- Ta cała Jackie jest... trochę lekkomyślna. A Susannah zrobi dla niej wszystko, o co ta ją poprosi. Od osiemnastego roku życia, od śmierci ich rodziców, poświęciła się bez reszty młodszej siostrze.

- Straciły oboje rodziców jednocześnie? - zapytał Kane. To by wiele wyjaśniało, pomyślał. Stracić rodziców w tak młodym wieku! Jego matka zmarła na raka, kiedy był na studiach, i od tamtej pory ojciec jeszcze bardziej zamknął się w sobie, ale jednak żył.

Ona tymczasem od osiemnastego roku życia nie miała nikogo. To by tłumaczyło jej niemal chorobliwe poczucie odpowiedzialności. A także pragnienie odzyskania prawa do własnego życia.

- Tak. Chrzciłem obie siostry, a potem, osiem lat temu, odprowadzałem ich rodziców do grobu - powiedział pastor. - Utonęli w jeziorze Michigan, w trakcie wyprawy na ryby. Przyszedł nagły sztorm i nie zdążyli dopłynąć do brzegu.

- A Susannah miała zaledwie osiemnaście lat...

- Ale była już prawie dorosła, w każdym razie na tyle, żeby rozpocząć samodzielne życie. Ona jednak poświęciła się wychowaniu czternastoletniej Jackie.

- Pastor poklepał Kane'a po ramieniu. - Ale pojutrze przyjdzie wreszcie jej kolej. Będzie nam jej brakować, bo wszyscy w Chapel Ridge bardzo ją lubią, niemniej wszyscy rozumieją, dlaczego chce się stąd wyrwać.

- Nigdy nie wyjeżdżała?

- Nie tylko nie wyjeżdżała, ale nigdy nie miała nawet dnia urlopu. Całe jej życie obracało się wokół Jackie. - Pastor przyjrzał się Kane'owi. - Widzę, że ją polubiłeś, ale pamiętaj, że my wszyscy też bardzo ją lubimy. Cokolwiek postanowisz, miej przede wszystkim jej dobro na uwadze. - To powiedziawszy, pocziwy pastor jeszcze raz poklepał go po ramieniu, wstał i odszedł do zakrystii.

Kane'a ogarnęły wyrzuty sumienia. Niecałą godzinę temu, jadąc do kościoła, obmyślał strategię ucieczki z Chapel Ridge, zanim miasteczko i stanowiąca jego

nieodłączną część kobieta zanadto nim owładną. Nie widział możliwości pogodzenia tego wszystkiego z jego nowojorską egzystencją.

To prawda, ale...

Susannah pragnie przecież wyjechać stąd, chce poznać świat. Może dałaby się namówić, żeby w swoich planach uwzględniła także Nowy Jork?

No tak, ale jest jeszcze jeden problem. Jak odkręcić kłamstwa i kłamstewka na swój temat, którymi karmił ją do tej pory? W wyobraźni widział już na jej twarzy wyraz bolesnego niedowierzania. Może nie znał jej zbyt dobrze, ale jedno nie ulegało wątpliwości: Susannah Wilson ponad wszystko ceni w ludziach uczciwość. Kłamstwo musi w jej oczach zdyskwalifikować każdego mężczyznę.

- Przepraszam za spóźnienie. Jak poszło? - zapytała Jackie.

Susannah szybko otarła łzy.

- W porządku.

Jackie uważnie się jej przyjrzała.

- Płakałaś?

- Nie.

- Przecież widzę. Co się stało? - Jackie pochyliła się nad siostrą.

- Ach, wiesz, myślałam o mamie, o tym, że nie doczekała twojego wesela, i zrobiło mi się rzewnie. - Miała inne jeszcze powody do płaczu, takie jak żal za straconymi latami i tym, co jej się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, ale to wolała zachować dla siebie. Więc dodała: - To pięknie z twojej strony, że wybrałaś właśnie ten hymn.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę. Myślałam, że też będziesz z tego zadowolona.

Susannah poczuła nawiązującą się między nimi nić czułego siostrzanego porozumienia, całkiem innego niż ich normalne stosunki. Jej serce przepełniła wdzięczność.



- Będziesz miała piękny ślub, Jackie. Mama byłaby szczęśliwa - powiedziała głęboko wzruszona.

- A jak wyglądała próba? - zagadnęła Jackie.

- Pastor nie mógł dłużej czekać, więc poprosił mnie i Kane'a, żebyśmy was zastąpili. - Nie chciała mówić siostrze, co czuła, stojąc przed ołtarzem i „biorąc ślub” z Kane'em. O tym, jakie to było cudowne, a zarazem przerażające. Jakby wszystko działało się naprawdę. Na szczęście w porę się opamiętała i wybiegła z kościoła. - Jeśli chcesz, mogę ci pokazać kolejne etapy ceremonii.

- Jutro będzie na to czas. Dzisiaj mamy przyjęcie. Chyba pamiętasz, że dziś wieczorem spotykamy się w Corner Kitchen na przedślubnym przyjęciu? Ale każdy płaci za siebie, bo ja i Paul musimy oszczędzać.

Susannah westchnęła z ulgą. Dobrze, że przynajmniej w sprawach finansowych Kane'owi udało się trafić Jackie do przekonania. Była mu za to wdzięczna, ale nie mogła sobie wyobrazić spotkania z nim po tym, co stało się w kościele.

- Nie jestem w nastroju - odparła.

- Och, Suzie, zawsze tak mówisz. Przynajmniej raz daj się namówić.

- Naprawdę nie jestem w nastroju. Zabiorę się do wypisywania podziękowań za ślubne prezenty.

- Zostaw, sama to zrobię - zaprotestowała Jackie.

- Nie zdążysz. Raz, bo nie potrafisz się zorganizować, a poza tym po powrocie z podróży poślubnej będziesz musiała wrócić do pracy.

- Nie, Suzie, to moje wesele, sama powinnam się wszystkim zająć.

Susannah знала na pamięć podobne oświadczenia swojej siostry. Z reguły nic z nich nie wynikało.

- Na przykład tym, żeby być na próbie w kościele? - spytała z nieukrywanym sarkazmem.

- Na przykład.

- Aha. Tyle że to ja musiałam cię zastąpić.

- I na tym polega największy problem. Na tym, że zawsze jesteś gotowa we wszystkim mnie wyręczyć, a ja się zgadzam... ze zwykłego lenistwa - zawołała Jackie, składając z rozmachem ręce na piersi. - Dzisiaj, jak dotarliśmy wreszcie do kościoła i okazało się, że sama wszystko załatwiłaś, byłam... po prostu wściekła. Chociaż wiedziałam, że to moja własna wina.

- A co niby miałam zrobić, skoro ty, jak zwykle, nie raczyłaś się pojawić na czas?

- Nie zrozum mnie źle. Byłam wściekła nie na ciebie, ale na siebie. O to, że znowu coś zawałam, i to w sprawie bardzo dla mnie ważnej. Wiem, wiem, sama jestem sobie winna. Zawsze tak jest, niby mam najlepsze intencje, a jak przyjdzie co do czego, nic z tego nie wychodzi.

Susannah miałyby dobrą okazję, by wypomnieć siostrze wszystkie błędy i zaniechania, uznała jednak, że nie jest to najlepszy moment na takie rozliczenia. Bo i po co? Lepiej podtrzymać nawiązaną chwilę temu nić porozumienia.

- Najważniejsze, że to widzisz i starasz się poprawić - powiedziała.

- To za mało. Staram się zapanować nad swoim życiem, ale ty mi tego nie ułatwiasz.

- No wiesz! - obruszyła się Susannah.

Jackie usiadła obok siostry i wzięła ją za rękę. Długo milczała, jakby szukała odpowiednich słów na wyrażenie tego, co miała do powiedzenia.

- Od śmierci mamy i taty zastępowałaś mi rodziców - zaczęła. - Dbałaś o mnie, że nie można lepiej.

- Spełniłam tylko swój obowiązek. Nie chciałam, żebyś dorastała w obcym domu albo u dalekich krewnych z Arizony.

- Wiem, i jestem ci za to bardzo wdzięczna. Ale ja z czasem dorosłam, a ty nadal myślałaś tylko o tym, jak mi wszystko ułatwić. A ja się na to godziłam, bo tak było wygodnie.

Susannah już miała zaprzeczyć, ale ugryzła się w język.

- Zgadzałam się, żebyś wszystko za mnie załatwiała, nawet sprawy związane z moim ślubem i weselem - ciągnęła Jackie. - Ale dłużej tak nie może być. To jest mój ślub i moja odpowiedzialność. Od tej chwili czuj się oficjalnie zdymisjonowana ze stanowiska niezawodnej opiekunki.

- Co to ma znaczyć?

- To, co powiedziałam. Od tej chwili jesteś tylko moją siostrą. No i, oczywiście, pierwszą druhną. Czyli twoje obowiązki ograniczają się do towarzyszenia mi podczas jutrzejszej ceremonii.

Susannah wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

- Skąd ta nagła zmiana? Owszem, bardzo mi się to podoba, ale...

- Wypluj to słowo! Sama wiem, że wiele mi jeszcze brakuje, żeby się stać naprawdę odpowiedzialną dorosłą osobą, i na pewno jeszcze nieraz nawalę, ale bardzo się staram, a ty znowu wyjeżdżasz z tym swoim „ale”, jakbyś z punktu chciała podciąć mi skrzydła! - zawołała Jackie. I po sekundzie nieco spokojniej dodała: - Rozumiemy się, siostrzyczko?

- Tak jest, siostrzyczko. - Susannah nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Z jednej strony była uradowana, że Jackie mówi jak osoba dorosła, ale z drugiej było jej trochę żal, że jej mała siostrzyczka chce się usamodzielnąć. Zarazem jednak poczuła ogromny przypływ miłości. Podeszła i z całego serca ją uściskała. - Mama i tata byliby z ciebie dumni - powiedziała przez łzy.

- Nie, Susannah - zaprotestowała nie mniej wzruszona Jackie. - Byliby, a właściwie na pewno są, dumni z ciebie. Tak jak ja jestem z dumna z tego, że mam taką siostrę. Dziękuję ci za wszystko, Suzie.

List był ostrzeżeniem. Laura, sekretarka Kane'a, jedyna osoba, która знаła jego obecny adres, wysłała ekspresową pocztą ostrzeżenie, że ojciec podejmuje wszelkie możliwe środki, by odnaleźć marnotrawnego syna.

A to oznacza, że nie cofnie się przed niczym.

Kane przechadzał się nerwowo po chacie, a zdeorientowany Bandyta biegał wokół niego, jakby pytał, co się dzieje.

Może to i dobrze, że jego krótkie wakacje dobiegają końca, myślał Kane. Zaledwie dwanaście godzin temu stał przed ołtarzem w kościele, uroczyście przysięgając Susannah dozgonną miłość. I chociaż nie to miał na celu, wybierając się na urlop, to jednak tamta chwila była całkiem przyjemna. A zarazem trochę przerażająca.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, podszedł do kominka, by rozpaścić ogień. Tym razem poszło mu jak z płatka. Nauki Susannah nie poszły w las.

Bandyta przydreptał do kominka i ułożył się u jego stóp. Kane pogłaskał go po łbie.

- Polubiłeś mnie, stary? - mruknął.

Bandyta na znak potwierdzenia pomachał ogonem.

- Wiesz, że nigdy nie miałem psa?

Bandyce najwidoczniej to nie przeszkadzało, bo jego ogon jeszcze energiczniej uderzył o podłogę.

Wyjeżdżając, będzie musiał zostawić psa w Chapel Ridge. Czy potrafi się na to zdobyć? Wyjechać, jakby nic się tutaj nie wydarzyło? Wcielić się na nowo w dawnego Kane'a Lennox'a?

Czy naprawdę chce tego?

Popatrzył smętnie na porzucony na stole list.

A czy ma wybór?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Czy trochę nie za wcześnie na piwo? - mruknął Kane, sadowiąc się obok Paula na barowym stołku w pubie Flanagana.

- Ale ja się dziś żenię, stary. Żenię się, rozumiesz? - odparł Paul, gwałtownym ruchem podnosząc do ust butelkę. - Myślisz, że zwariowałem?

- Kochasz ją?

- Oczywiście.

- No to nie zwariowałeś. W każdym razie nie do końca.

- Ha, ha, ha! - Łyknąwszy potężny haust piwa, Paul odstawił butelkę. - Masz rację, to nie pora na piwo.

Kane roześmiał się, po czym wezwał gestem barmana i poprosił o jeszcze jedną kawę. Kiedy Larry nappełnił jego kubek, a następnie przeszedł na drugą stronę baru, Kane wyjął z portfela banknot jako zapłatę za kawę oraz suty napiwek.

- Między tobą i Jackie wszystko w porządku? - zapytał.

- Kane, co ty wyprawiasz?

- Jak to co? Siedzę o dziewiątej rano w barze i piję kawę.

- Mówię o tym - szepnął mu do ucha Paul, wskazując wzrokiem banknot. - W naszym miasteczku nikt nie daje barmanowi prawie stu dolarów napiwku. Larry, jak to zobaczy, chyba dostanie zawału.

- Sam mi mówiłeś, że ma kłopoty. Wiem, że sto dolarów ich nie rozwiąże, ale przynajmniej umili mu dzisiejszy dzień.

Paul pokręcił głową.

- No, no, zmieniłeś się - zauważył.

- Bo zaczynam dzień od kawy, a nie od piwa? No cóż, trzeba kiedyś dorosnąć. Ty też się ustatkowałeś. Jesteś nauczycielem, uczysz dzieci, nie możesz przychodzić do szkoły podpity albo na kacu.

- Nie chodzi mi o picie, tylko o to - odparł Paul, wskazując banknot. - Stałeś się społecznikiem?

Kane zaśmiał się lekko.

- No, nie rób ze mnie dobroczyńcy ludzkości.

W tym momencie zbliżył się do nich Larry z dzbankiem gorącej kawy. Spostrzegłszy leżący na barze banknot, znieruchomiał.

- Czy ja dobrze widzę? - sapnął. - To chyba studolarówka?

- Dobrze widzisz. To dla ciebie - z uśmiechem przytaknął Kane.

- Przecież piłeś tylko kawę.

- Wiem.

- Mówisz poważnie? Nie żartujesz?

- Jak najpoważniej. Zabierz żonę do restauracji, zapłać najpilniejsze rachunki, złap chwilę oddechu. Wiem, jakie masz trudne życie.

- To prawda. Bardzo dziękuję. - Barman wycofał się do telefonu i po chwili usłyszeli, jak mówił, pewnie do żony: - Nie masz pojęcia, co mi się wydarzyło...

Kane'owi zrobiło się dziwnie ciepło na sercu. Nie przypuszczał, że robienie innym uprzejmości jest tak przyjemne. A przecież dał tylko wysoki napiwek.

Spojrzał na Paula.

- Cieszę się, że to zrobiłem - stwierdził. - Normalnie wypisuję wiele czeków na dobroczynne cele, ale to zupełnie inna rzecz, nie ma w sobie nic osobistego. Może wyjdę na ulicę i zacznę obcym ludziom rozdawać pieniądze?

- Co się stało? Wybierasz się na tamten świat czy jak?

- Nic mi nie jest. Po prostu... - Kane zastanowił się. To chyba Susannah tak na niego wpłynęła. I nie tylko ona, ale całe to miasteczko. - Po prostu po raz pierwszy cieszę się, że żyję.

- No, skoro rozdawanie pieniędzy sprawia ci tyle frajdy... - Paul roześmiał się, ale zaraz spoważniał. - Tylko żartuję, stary. Wiesz, że polubiłem cię nie dlatego, że jesteś bogaty.

- Wiem, i bardzo to doceniam. - Kane klepnął go serdecznie w plecy.

Początkowo zamierzał ofiarować przyjacielowi w prezencie ślubnym czek na dużą sumę, ale po namyśle postanowił zrobić mu bardziej osobisty prezent. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął podłużną kopertę i podał ją Paulowi. - To dla ciebie i Jackie - powiedział.

- Co to? - Paul urwał, wpatrując się w wydrukowaną na kopercie nazwę agencji turystycznej i napis poniżej logo. - Jamajka? Kane, nie możemy...

- Owszem, możecie - kategorycznie oświadczył Kane. - Życie jest krótkie, Paul. Wiem, jak krucho u was z forszą i że stać was tylko na trzydniowy wyjazd do Chicago. Nie mam nic przeciwko Chicago, ale zasługujecie na dłuższą i przyjemniejszą podróż poślubną. Rozmawiałem z kierownikiem szkoły i z szefem Jackie i obaj zgodzili się dać wam dwutygodniowy urlop.

- Dwutygodniowy urlop? Jak ci się to udało?

- Z kierownikiem nie poszło łatwo, ale w końcu się zgodził, kiedy obiecałem opłacić zastępstwo.

- Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jakim budżetem dysponuje szkoła - mruknął Paul. Przez chwilę obracał kopertę w ręku. - To za wiele, stary - rzekł wreszcie, oddając ją Kane'owi. - Nie mogę tego przyjąć.

Kane odepchnął kopertę.

- Dobrze pamiętam, ile razy ratowałeś mi skórę za studenckich czasów. To jest tylko drobny wyraz wdzięczności.

- Wielkie mi rzeczy, parę razy pomogłem ci się przygotować do egzaminów.

- Zrobiłeś dla mnie znacznie więcej. Gdyby nie ty, chyba bym wtedy zwariował. A teraz, zapraszając mnie na wesele, po raz drugi uchroniłeś mnie od szaleństwa.

- Już mi się zrewanżowałeś, kiedy przekonałeś Jackie, że musimy od razu zacząć oszczędzać na emeryturę - roześmiał się Paul.

Kane też parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Widzisz, Paul, pobyt w Chapel Ridge wiele mnie nauczył. - Przez chwilę wpatrywał się w swój kubek. Podniósłszy wzrok na przyjaciela, ciągnął: - Nauczył mnie cenić każdą chwilę życia. Zanim się obejrzyysz, Paul, miną lata, a ty będziesz żałował, że nie umiałeś ich wykorzystać. Więc ciesz się tym, co cię spotkało, i daj spokój niepotrzebnym skrupułom.

Paul już miał zaprotestować, lecz zmienił zdanie.

- No dobrze, przyjmuję - odparł - ale tylko dlatego, że w przeciwnym razie Jackie by mnie zabiła.

- Brawo, stary!

- A co z tobą? - zagadnął Paul.

- Jak to, co ze mną?

- Wrócisz do Nowego Jorku i na powrót włożysz głowę w jarzmo czy zaczniesz naprawdę żyć?

Kane nagle spochmurniał.

- Ach, wiesz, jaki jest mój ojciec. Nie będzie zadowolony, dopóki nie upewni się, że pracuję dzień w dzień po dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dlaczego tak bardzo starasz się go zadowolić? - nie ustępował Paul. - Nie zamierzam ci radzić, jak masz żyć, ale nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy na jego aprobacie?

- To skomplikowana sprawa. Nie jest złym człowiekiem, tylko bardzo trudnym.

- No dobrze, zostawmy to. A jakie masz zamiary wobec Susannah?

- Nie rozumiem.

Paul odchrząknął.

- No to ci powiem - zaczął. - Słyszałem od moich kumpli, co zaszło wczoraj w kościele. Chyba coś do siebie czujecie. W każdym razie ludzie mieli wrażenie, jakbyście to wy brali ślub.



Wczorajsza próba odżyła Kane'owi w pamięci. Znowu widział jej twarz, znowu miał uczucie, że powtarzając za pastorem słowa przysięgi, przyrzeka Suzie dozgonną miłość. Przypomniała mu się jej ucieczka. I to, że nie pojawiła się na wieczornej kolacji.

- Widać dobrze odegraliśmy nasze role.

- Może powinieneś zmienić zawód - zażartował Paul, trącając go łokciem. - Z tego, co słyszałem, zasłużyłeś na Oscara.

- Reggie będzie za tobą tęsknił - westchnęła Cecilia Richards, przytulając czule swego świeżo wykapanego szpica. - Koniecznie chcesz wyjechać? Kto mojemu słodkiemu chłopczykowi potrafi okazać tyle serca co ty?

Susannah omal nie parsknęła śmiechem. „Słodki chłopczyk” pani Richards był nienawidzącym wody potworem, którego utemperowanie w trakcie kąpieli i innych kosmetycznych zabiegów wymagało niemal nadludzkiego wysiłku.

- Ja też będę za nim tęsknić - odparła dyplomatycznie.

- Ale wrócisz do nas? - upewniała się pani Richards.

- Tak, za trzy tygodnie - smętnie przytaknęła Susannah. Najchętniej nigdy by nie wróciła, ale jako osoba odpowiedzialna wiedziała, że część pieniędzy musi zachować na wynajęcie mieszkania.

- Jak to dobrze. Ale kto do tego czasu zajmie się moim kochanym chłopczykiem? - drażyła uparcie pani Richards.

- Tess z radością weźmie go w swoje ręce. - Biedna Tess nie wie, co ją czeka, niemniej obiecała przejąć na czas nieobecności Susannah wszystkich jej klientów. Psy ze schroniska znalazły już stałych bądź tymczasowych opiekunów, walizki były spakowane, ostatnia klientka właśnie opuszczała salon, pozostało jedynie zrobić porządki i zamknąć interes na klucz.

Jeszcze dziś, po ślubie i weselnym przyjęciu, stanie się wolnym człowiekiem. Będzie mogła rozpocząć własne życie i zrealizować marzenie swoje i rodziców. Zdejmując fartuch, popatrzyła na plakat przedstawiający Łuk Triumfalny. Jutro

wieczorem zobaczy go na własne oczy. Dzisiaj jednak myśl o ujrzeniu Paryża i jego cudów nie cieszyła jej tak, jak jeszcze tydzień temu.

- Paryż jest piękny, szczególnie wiosną - usłyszała za sobą głos Kane'a i gwałtownie się odwróciła.

- Co tu robisz? - zapytała. - Myślałam, że Paul cię potrzebował.

- Owszem, ale już go uspokoiłem. - Kane podszedł bliżej. - Miał chwilę wątpliwości na temat trwałego związku, ale już wszystko w porządku.

Wątpliwości. Odkąd poznała Kane'a, ona też ma stale wątpliwości. Na temat tego, kim on właściwie jest i czy powinna się z nim zadawać. A ostatnio, czy potrafi o nim zapomnieć.

- To się czasem zdarza - powiedziała.

Nie była pewna, czy mówiąc to, ma na myśli Paula i Jackie, czy Kane'a i siebie. On tymczasem podszedł do niej jeszcze bliżej. Miała wrażenie, że zaraz ją pocałuje. Zamiast tego powiedział:

- Zdał sobie sprawę, że nie umie bez niej żyć. Dlaczego nie przyszedł wczoraj na kolację?

- Nie miałam ochoty. Źle się poczułam. - Co było oczywistym kłamstwem.

Bała się, że Kane wyczyta z jej twarzy, co przeżywała, stojąc naprzeciw niego u stóp ołtarza.

- Na pewno nie przez to, co wydarzyło się w kościele? - zapytał, dotykając jej policzka.

- Nie... - zaczęła i urwała. Po co udawać? I tak jej nie uwierzy. - To było coś więcej niż odgrywanie Paula i Jackie, prawda?

Kane powoli skinął głową.

- Zdaję sobie sprawę, że prawie się nie znamy, i wiem, że to, co powiem, może zabrzmieć dziwnie, ale jesteś pierwszą kobietą, która zobaczyła we mnie jedynie mężczyznę o imieniu Kane. Nie masz pojęcia, jakie to cudowne uczucie.

- Hm, interesujące - powiedziała, starając się nie okazać podniecenia, w jakie wprawiły ją jego słowa.

- Ale prawdziwe - odparł, biorąc ją w ramiona. - Jesteś spełnieniem moich najskrytszych marzeń.

Susannah dopiero teraz pozwoliła sobie na uśmiech radości. Bez dalszych ceregieli zarzuciła mu ręce na szyję.

- I to wydarzyło ci się właśnie tutaj, w Chapel Ridge? - szepnęła, przytulając się do niego.

- Tak, właśnie tutaj. - Czułym pocałunkiem musnął jej wargi. - I nie chcę tego stracić. Pragnę, żebyś pojechała ze mną do Nowego Jorku. Zaraz po weselu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Susannah wyzwoliła się z jego objęć.

- Jedź ze mną do Nowego Jorku. Wynajmę ci mieszkanie. Jeśli zechcesz, urządzę ci salon dla psów i kotów. Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz.

Nowy Jork. Pepek świata, miejsce, w którym tyle się dzieje. Uwolniłaby się na zawsze od małomiasteczkowych zależności. Ale co zyskałaby w zamian? Co właściwie Kane jej zaproponował?

- Nie, to dla mnie za mało - odparła.

- Chcesz mieć własny dom? Ależ oczywiście. Spełnię każde twoje życzenie. Rzeczy. Proponuje jej rzeczy. Wszystko oprócz serca.

- Nie, Kane, nie chcę twoich pieniędzy. Jeśli coś osiągnę, będę to zawdzięczać tylko sobie. Chcę zobaczyć kawałek świata i przekonać się, na co mnie naprawdę stać. A nie osiągnę tego, zależąc od ciebie i twoich pieniędzy - rzekła spokojnym tonem. - Nie chcę być twoją ulubioną zabawką. Jeżeli zdecyduję się zamieszkać z mężczyzną, to tylko jako jego żona.

Kane smętnie pokiwał głową.

- Żądasz wszystkiego - mruknął.

- Chyba mam do tego prawo? Co w tym złego?

- Nie mogę ci dać wszystkiego. Zależę nie tylko od siebie.

- O jakiej zależności mówisz? Czy praca w sklepie tak cię absorbuje, że nie masz czasu na osobiste życie?

- To coś więcej - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Moja praca wymaga ode mnie absolutnego oddania.

- Praca jest najważniejsza? I to mówi człowiek, który od tygodnia prawi mi kazania o tym, że powinnam zacząć żyć własnym życiem?

- Proponuję ci nowe życie. Zupełnie inne od tego, które miałaś dotąd.

Te słowa ostatecznie pogrzebały ostatnią nadzieję, jaka jeszcze się tliła na dnie jej serca. Na twarzy Susannah pojawił się gorzki uśmiech. Wydawało jej się, że już trochę poznała Kane'a, a tymczasem nic o nim nie wie.

- Czym twoim zdaniem to moje nowe życie różniłoby się od obecnego? - zapytała. - Tylko tym, że zamiast za naukę wędkowania płaciłbyś mi za obecność.

Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek, po czym odwróciła się, wyszła na ulicę i pobiegła do samochodu. Bała się, że jeśli zaraz nie odjedzie, to rozmyśli się i przyjmie jego propozycję.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy jej uwagę przyciągnęła zatrzymująca się przy krawężniku wspaniała czarna limuzyna. Był to w Chapel Ridge widok niespotykany.

- Susannah, nie odchodź! - zawołał Kane.

Ona jednak szła dalej, nie oglądając się za siebie. Pragnęła znaleźć się jak najszybciej sama ze swoim bólem. Kane jednak ją dogonił, lecz w momencie, gdy chwycił ją za rękę, stanął przed nimi starszy, elegancko ubrany pan, który właśnie wysiadł z limuzyny.

- Co za niespodzianka! - odezwał się Kane, nieudolnie udając zadowolenie. - Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Susannah, oto mój ojciec, Elliott Lennox, a to, ojczu, Susannah Wilson.

Jego ojciec? Skąd się tutaj wziął?

- Nie udawaj, że nie wiesz, po co przyjechałem - surowym tonem odezwał się starszy pan. A zwracając się do Susannah, ze sztucznym uśmiechem dodał: - Bardzo panią przepraszam, ale proszę nas na chwilę zostawić. Muszę z synem porozmawiać.

Twarz Kane'a nagle się zmieniła.

- Nie, ojczu, ona tu zostanie - oświadczył.

- Proszę cię, Kane, nie wciągaj wakacyjnego flirtu w nasze rodzinne sprawy - zirytował się Elliott Lennox.

Wakacyjny flirt? Susannah już otwierała usta, by osadzić faceta na miejscu, ale się powstrzymała. Nie powinna na środku miasteczka wdawać się w awanturę z ojcem Kane'a.

- Nie nazywaj jej w ten sposób - oburzył się Kane. - Susannah zasługuje na szacunek.

Elliott parsknął i niecierpliwym gestem przygładził włosy. Był tego samego wzrostu i podobnej budowy co Kane, lecz poza fizycznym podobieństwem wszystko ich różniło. Był człowiekiem z całkiem innej bajki.

- Dosyć tych zabaw w kotka i myszkę, Kane. Najwyższy czas wracać do firmy  
- oświadczył starszy pan. - Chcesz, żeby cię opisali w prasie?

- Ależ proszę pana - włączyła się Susannah - dziennikarzy nie interesuje, co się dzieje w takiej małej miejscinie jak Chapel Ridge. A poza tym czy sklep jubilerski naprawdę nie może się bez niego obejść przez kilka dni?

Pan Lennox parsknął jeszcze głośniej.

- No, no, ładne rzeczy. Powiedziałeś jej, że pracujesz u jubilera? - A zwracając się do Susannah, dodał: - Nie wie pani, kim on jest?

- Nie, nie wie - wycedził Kane przez zęby.

- Ma pani przed sobą Kane'a Lennox'a, spadkobiercę i dyrektora korporacji Len...

- Ojczy, ostrzegam!

- Lennox Gem, największej firmy handlu drogimi kamieniami - ignorując syna, ciągnął pan Lennox. - Jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Oczywiście, jeżeli przeze mnie i pozostałych członków zarządu nie zostanie zdymisjonowany za swój ostatni wybryk.

Susannah doznała nagłego olśnienia, zdając sobie po raz pierwszy sprawę, co oznacza jego nazwisko. Kane nie jest pracownikiem jednego z wielu jubilerskich sklepów, ale jednym ze słynnych z bogactwa Lennoxów.

Kane otworzył usta, by zacząć się tłumaczyć, lecz widząc malujące się na jej twarzy zdumienie i oburzenie, bezradnie spuścił oczy. Dla niej tymczasem wszystko stało się jasne - wykrętne półprawdy, jakimi ją karmił, unikanie wyjaśnień i ostatnia propozycja umieszczenia jej w nowojorskim apartamencie. W jakim charakterze?

- Ty łajdaku! - wykrztusiła. - Jak mogłeś?

- Wszystko ci wyjaśnię.

- Okłamywałeś mnie. Wszystko, co mówiłeś, było kłamstwem.  
- Nie, Susannah, nie wszystko!  
- A co, wyznał pani miłość? Składał jakieś absurdalne obietnice? - ironicznie dopytywał się Elliott Lennox. - To bardzo nieładnie, Kane, nie powinieneś zwodzić Bogu ducha winnej dziewczyny. Dobrze wiesz, że dla takiej osóbkki nie ma miejsca w twoim życiu. - Podeszedł do limuzyny i otworzył drzwi. - Wsiadam i odjeżdżam. Przyłącz się do mnie, jeżeli masz odrobinę oleju w głowie.

Pan Lennox wsiadł do samochodu, nie zatrzasnąwszy drzwi. Najwyraźniej czekał na decyzję syna. Na to, by wsiadł i odjechał z nim do Nowego Jorku, porzucając stojącą na chodniku dziewczynę.

Susannah też czekała. Na to, by Kane spojrział na nią i powiedział, że jego ojciec się myli. Że kocha ją i jest dla niej gotów na wszelkie poświęcenia.

On jednak stał nadal ze spuszczoną głową. Susannah odwróciła się i pobiegła do swego samochodu, tłumiąc napływające do oczu łzy.

Łagodne światło świec rzucało złote blaski na ściany kościoła. Zapelniający ławki goście szeptali do siebie przyciszonymi głosami w oczekiwaniu na rozpoczęcie ślubnej ceremonii. Susannah cofnęła się do pomieszczenia dla panny młodej.

Jackie stała przed lustrem, wygładzając na sobie suknię i poprawiając welon.

- Wiesz, wcale się nie denerwuję - powiedziała.

- Bo wybrałaś właściwego człowieka - odparła Susannah, ściskając siostrę.

- Lubisz Paula, co?

- Bardzo. - Serce Susannah drgnęło boleśnie. Powinna się cieszyć, że jej mała siostrzyczka wychodzi za mąż za dzielnego człowieka, ale świadomość zdrady Kane'a mąciła jej radość. Jak mógł ją tak okłamać?

- Dobrze się czujesz? Jesteś dziwnie nieobecna - zaniepokoiła się Jackie.

- Nie, nic mi nie jest. Po prostu mam jeszcze sporo do zrobienia przed wyjazdem.

- Szkoda, że wyjeżdżasz - powiedziała czule Jackie.

- Przecież nie wyjeżdżam na zawsze.

Czeka ją powrót do Chapel Ridge, do dawnego życia i codziennej pracy. Tyle że w jej sercu pozostanie pustka po tym, co przeżyła z Kane'em. Ale może pobyt w Paryżu pozwoli jej o nim zapomnieć.

- Wiem. Ale będę tęsknić. Nigdy dotąd się nie rozstawaliśmy.

- To prawda. Nie martw się, będę do ciebie codziennie dzwonić - przyrzekła Susannah.

- Na Jamajkę? - Jackie uśmiechnęła się filuternie.

- Na Jamajkę? Myślałam, że jedzicie do Chicago.

- Nie mówiłam ci? - Twarz Jackie rozjaśnił uśmiech radości. - Kane zrobił coś cudownego. Wyobraź sobie, że załatwił mnie i Paulowi dwutygodniowy urlop i podarował nam w prezencie ślubnym pobyt na Jamajce.

- Naprawdę? To wspaniały gest! - z udanym podziwem wykrzyknęła Susannah. W końcu Kane jest milionerem, może nawet miliarderem. Koszt wypadu na Jamajkę to zaledwie kropla w oceanie jego majątku.

Oto jeszcze jeden dowód na to, jak ważne są pieniądze. Czy można się dziwić, iż mając do wyboru egzystencję miliardera albo łowienie ryb i opiekowanie się zabłąkanymi psami w Chapel Ridge, wybrał to pierwsze?

- Kiedy Paul zapytał, co go do tego skłoniło - ciągnęła Jackie - powiedział, że chciał, abyśmy przeżyli to, co on przeżył w Chapel Ridge. - Jackie wzięła bukiet i po raz ostatni zerknęła w lustro. - Trochę to dziwne, nie uważasz? Co takiego można przeżyć w naszej nudnej miejscinie?

- Faktycznie, dziwne - mruknęła Susannah, unikając spojrzenia Jackie w twarz, by ta nie wyczytała z jej oczu, co takiego szczególnego wydarzyło się Kane'owi w Chapel Ridge.

- No, już prawie czas. Za chwilę będziesz żoną Paula.



- Jak to dobrze, że jesteś ze mną - szepnęła wzruszona Jackie. - I że kiedy stanę przed ołtarzem, będziesz niedaleko.

Ale jak ja to zniosę? - pomyślała ze strachem Susannah, wiedząc, kogo spotka po dojeździe do ołtarza.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

W ciągu minionej godziny Elliott Lennox już kilka razy groził synowi utratą stanowiska dyrektora i całkowitym wydziedziczeniem, ale nic nie uzyskał.

- Nie wracam z tobą do Nowego Jorku, nie w tej chwili - powtórzył Kane.

Pan Lennox nic nie odrzekł. Rozmowa odbywała się w chacie Kane'a nad jeziorem.

- Obiecałem przyjacielowi, że będę pierwszym drużbą, i nie mogę go zawieść. Chyba nie chcesz, żebym złamał słowo?

Pan Lennox znowu nie odpowiedział.

- O co ci chodzi, tato? Co mam zrobić, żebyś zaczął mnie traktować jak syna?

- Zachowywać się, jak na syna przystało.

- A kiedy, twoim zdaniem, postąpiłem inaczej?

- Choćby w ostatnim tygodniu. Porzuciłeś bez słowa rodzinę i obowiązki. Zachowałeś się karygodnie. Narobiłeś bigosu, jak uczeń, którego ojciec musi doprowadzać do opamiętania.

- Susannah też masz zamiar odesłać do Europy? - W głosie Kane'a brzmiało gorzkie szyderstwo.

- Zapewniam cię, że tamtym razem w grę wchodziło coś więcej niż kompromitacja rodziny.

- Moje małżeństwo z Rebeccą zagrażało interesom firmy? - ironicznym tonem zapytał Kane.

- Jej chodziło o twoje pieniądze.

- Ano tak. I na pewno to samo powiesz o każdej kobiecie, którą uznasz za nieodpowiednią partnerkę dla swojego syna. Pewnie najchętniej sam wybrałbyś mi żonę.

Pan Elliott przez chwilę bawił się w milczeniu kubkiem kawy.

- Rebecca sama przyszła do mnie. Wparowała do mojego gabinetu, nikomu się nie opowiadając, i oświadczyła, że i tak za ciebie wyjdzie - powiedział w końcu.

- Cała Rebecca!

- A potem dodała, że za ćwierć miliona jest gotowa zrezygnować.

- To nieprawda! - wykrzyknął Kane, ugodzony w samo serce.

- W sprawach pieniędzy zawsze mówię prawdę, Kane. Powinieneś o tym wiedzieć.

Kane przypomniał sobie, jak nagle Rebecca zniknęła z jego życia. Jak szybko pozwoliła się odesłać na studia do Europy.

- Zapłaciłeś jej? - wykrztusił przez ściśnięte gardło.

- Doszliśmy do porozumienia. - Pan Lennox zamilkł i napił się kawy. - Ja tylko staram się cię ochraniać - podjął po chwili. - Jesteś zbyt łatwowierny, zbyt ufny. Ja lepiej znam się na ludziach.

- Uważasz, że wszyscy lecą tylko na pieniądze?

Przez twarz ojca przemknął lekki uśmiezek.

- Nie wszyscy są tacy jak ty.

- Samolubni i impulsywni? To chciałeś powiedzieć?

- Uhm, może nie ze wszystkimi twoimi decyzjami byłbym skłonny się zgodzić, ale w sumie jesteś... bardziej ode mnie skłonny do podejmowania ryzyka. Powiedziałbym, że niekiedy nawet ci tego trochę zazdrozczę.

Kane nie wierzył własnym uszom. Czy to możliwe, że ojciec go pochwalił? No, w każdym razie prawie pochwalił. Co za odmiana! Gniew momentalnie go opuścił. Popatrzył na ojca bardziej przychylnym okiem.

- Czy nigdy nie miałeś ochoty odpocząć od firmy? Wziąć urlop i na jakiś czas zapomnieć o interesach?

- Pewnie, każdy miewa takie myśli. Ale ja miałem za dużo na głowie, musiałem się troszczyć o korporację, którą twój dziadek karygodnie zaniedbywał, a potem o was, o twoją matkę i ciebie.

- Ale mogłeś się przecież czasem wyrwać na odpoczynek.

- A kto by wtedy pilnował interesów? Dziadek więcej czasu spędzał przy zielonym stoliku niż w biurze. O nic nie dbał, był jak dziecko. A potem ożeniłem się, ty się urodziłeś, a jeszcze potem twoja matka zachorowała. Nie miałem czasu na zabawy.

Kane nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie miałem pojęcia - rzekł niepewnie.

- Nie chciałem cię obarczać własnymi kłopotami - odparł ojciec z lekkim wzruszeniem ramion.

- Szkoda. Lepiej bym cię rozumiał.

- Zawsze źle się rozumieliśmy - przytaknął pan Lennox.

Kane długo wpatrywał się w deski podłogi. Wreszcie zdecydował się wypowiedzieć to, co od tak dawna ciążyło mu na sercu.

- Wiem, źle zrobiłem, wyjeżdżając bez uprzedzenia i potem nie odpowiadając na twoje telefony, ale od niepamiętnych czasów towarzyszyło mi uczucie, że nigdy nie sprostam twoim oczekiwaniom. Twoja dzisiejsza pochwała była pierwszą, jaką od ciebie usłyszałem. Lepiej traktujesz szeregowych pracowników niż własnego syna.

- Zapewniłem ci wszystko co najlepsze: wspaniały dom, wykształcenie, opiekę. Wysokie stanowisko.

- Ale ja nie za tym tęskniłem! - wykrzyknął Kane.

- Więc czego ci brakuje? Lepszego auta, większego domu? A może podwyżki? Przecież dostajesz godziwe wynagrodzenie.

- Czego mi brakuje? Ojca. Tylko tyle.

W pokoju zapadła cisza. Ojciec jakby się skurczył, jakby nagle się postarzał. Opadł ciężko na krzesło.

- Zawsze byłem przy tobie - odparł. - Codziennie po pracy wracałem do domu. A potem, kiedy skończyłaś studia, dałem ci pracę u mojego boku. Jak możesz mówić, że brakowało ci ojca?

Kane podszedł i usiadł obok niego.

- Byłeś przy mnie, ale nie jak ojciec. Nigdy mnie nie przytuliłeś. Nigdy nie powiedziałeś: „Jestem z ciebie dumny”. Słyszałem tylko: „Nie przynieś rodzinie wstydu!”.

- Och, wiesz, że nie jestem sentymentalny. Wiesz, że to nie jest mój styl prowadzenia interesów.

- Rodzina to co innego niż interesy.

Pan Lennox przetarł ręką czoło, potem zapadł w długą zadumę.

- Wiesz, kto mi to stale powtarzał? - zapytał w końcu. - Twoja matka. Stale mówiła, że rodzina to nie firma. Ale kiedy człowiek wsiąknie w interesy...

- Jak stryj Harold?

- Ano. Zapracował się na śmierć. Powinien mieć dość rozumu, żeby w porę przejść na emeryturę.

- A ty?

- Ze mną jest inaczej - zaprzeczył ojciec. - Ja po prostu poza firmą nie mam nic innego do roboty.

- A rodzina?

- Jaka rodzina? Ty jesteś już dorosły, a twoja matka nie żyje.

Kane przyjrzał się człowiekowi, którego lepiej znał jako prezesa zarządu firmy niż ojca rodziny. Gdyby nie tych parę dni w Chapel Ridge, wkrótce by się do niego upodobnił.

- Nadal masz mnie - rzekł miękko. - Jeszcze nie jest za późno. Nie jesteś stryjem Haroldem. Masz jeszcze czas.

Pan Lennox przesunął kubek po stole.

- Czas dla nas, ciebie i mnie?

Była to gałązka oliwna wyciągnięta w kierunku syna.

- Lubisz wędkować?

- Wędkować? - zdumiał się pan Lennox. - Chyba żartujesz.

- Wcale nie. Jeżeli zostaniesz parę dni w Chapel Ridge, pokażę ci najlepsze łowiska.

- A firma?

- Na tym, ojcze, polega urok kierowania wielkim przedsiębiorstwem, że jest w nim dosyć pracowników zdolnych pokierować nim w twoim zastępstwie.

Kompetentnych ludzi, których sam zatrudniłeś. Zaufaj im i odpręż się. Świetnie ci to zrobi.

- Masz źle w głowie.

- Ani trochę. Po prostu nauczyłem się cieszyć życiem. - Zdjął z haczyka smycz i podał ją ojcu. - Na początek idź z psem na spacer, możesz nawet zdjąć buty.

Zobaczysz, jaka to frajda chodzić bosą po trawie.

- Chodzić z psem? Co ty wygadujesz!

- Sam niedawno tak myślałem. Ale zdaj się na Bandytę, on ci pokaże, jak to się robi. Na pewno nie będziesz żałował - zapewnił go Kane z uśmiechem, biorąc kluczyki do samochodu. - Na razie, tato. Wrócę za parę godzin.

- Dokąd się wybierasz?

- Na ślub i wesele kolegi, który nie bał się zaryzykować ożenku, chociaż marnie zarabia, bo jest nauczycielem. Robi to, bo się zakochał. A ja, jeśli dobrze sprawę rozegram, wkrótce pójdę w jego ślady.

To powiedziawszy, wypadł z domu i wskoczył do samochodu. Miał nadzieję, że zdąży zrealizować swój plan i nie spóźnić się do kościoła.

Stojąc z boku u stóp ołtarza i słuchając, jak Jackie i Paul powtarzają za pastorem słowa uroczystej przysięgi, Susannah nie mogła uwierzyć, że nie dalej jak wczoraj przeżyła w tym samym miejscu złudną nadzieję, że ją i Kane'a czeka wspólny los.

Zerknąwszy na niego ukradkiem, poczuła, że serce zaczyna jej gwałtownie bić. Najwyraźniej nie chce przyjąć do wiadomości, że musi o nim zapomnieć. Na pozór wszystko ją w nim zachwycało. Jak to możliwe, że pod tą powłoką piękna kryje się kłamstwo i obłuda?

Kane spróbował pochwycić jej spojrzenie, lecz Susannah szybko odwróciła oczy ku młodej parze.

- Ogłaszam was mężem i żoną - oznajmił pastor, a zwracając się do Paula, dodał: - Możesz pocałować pannę młodą.

Paul chwycił Jackie w ramiona i gorąco ucałował, pani Maxwell uderzyła w klawisze organów i po chwili państwo młodzi, wśród oklasków i gremialnego ocierania łez, skierowali się ku wyjściu.

Postępujący za nimi Kane podał Susannah ramię. Przywoławszy na twarz sztuczny uśmiech, wsunęła rękę pod jego ramię. Za parę minut ta komedia się skończy, pomyślała.

- Pięknie wyglądasz - szepnął jej do ucha, idąc razem z nią główną nawą.
- Kłamca. - Nie da się więcej nabrać na czułe słówka.
- Pozwól mi się wytłumaczyć.

Kiedy doszli do drzwi kościoła, szybko wyrwała rękę spod jego ramienia.

- Niczego nie musisz mi tłumaczyć. Dobrze wiem, że wyjeżdżasz.

Poflirtowałaś z panienką z małego miasteczka, a teraz pora wrócić do prawdziwego życia.

- Nie, to nie tak, wszystko ci wyjaśnię.

- Wystarczy mi tego, co słyszałam wczoraj. - Zbiegła ze schodów, lecz natychmiast zdała sobie sprawę, że nie może uciec. Musi przecież pojechać na przyjęcie.

W tym momencie zatrzymała się przed nią długachna biała limuzyna, z której wyskoczył elegancko odziany szofer i otworzył przed nią drzwi.

- Nie, to nie dla mnie. Państwo młodzi są tam. Szofer pokręcił głową.

- Nie, to pani limuzyna. Limuzyna państwa młodych zaraz podjedzie - oświadczył.

- Moja? Ale...

- Tak, twoja. Nadal jestem twoim dłużnikiem - usłyszała za plecami głos Kane'a. - Nie odmawiaj, bardzo proszę. Całe miasto gapi się na nas, zaraz zaczną plotkować.

Obejrawszy się za siebie, zobaczyła skierowane na nich zaciekawione spojrzenia zebranego przed kościołem tłumu. Wszyscy im się przyglądali. Nie miała wyboru. Gdyby zaczęła protestować, dopiero byłoby gadanie.

Bez słowa wsiadła do samochodu, po czym wsunęła się w głąb, robiąc miejsce Kane'owi.

W następnej chwili szofer zatrzaskał drzwi.

- Czy teraz zgodzisz się mnie wysłuchać? - zapytał.

- Zdaje się, że nie mam wyjścia. W każdym razie dopóki nie dojedziemy do hotelu.

Kane uśmiechnął się i pochylił nad nią. Susannah poczuła, że omdlewa.

- W takim razie muszę dobrze wykorzystać te krótkie chwile - powiedział.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kane jednak jej nie pocałował, chociaż pragnął tego każdą cząstką ciała. Cofnął się, pozwalając jej odetchnąć. Ma niewiele czasu, teraz albo nigdy. Jeśli podczas jazdy nie zdoła jej przekonać, może stracić ją na zawsze.

- Przepraszam cię - powiedział. Odwróciła się od niego i popatrzyła w okno.

- Dlaczego mnie okłamywałeś?

- Bo marzyłem, żeby ktoś choć raz, mając ze mną do czynienia, zobaczył tylko mnie, a nie moje pieniądze. Dlatego.

- Tak nisko mnie oceniłeś? Myślałeś, że pieniądze przesłonią mi człowieka?

- Po pierwsze, najpierw cię nie znałem. A poza tym zależy, jakie pieniądze. O miliardach trudno nie myśleć. Wierz mi, bo dotąd spotkałem niemało różnych ludzi i wszyscy reagowali tak samo.

Susannah nadal patrzyła w okno.

- Nie, Kane, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Najlepiej będzie, jeżeli wyjedziesz, nic nie mówiąc. Na przyjęciu też nie musimy ze sobą rozmawiać.

Kane bezradnie przeczesał włosy. Wiedział, że przeprawa nie będzie łatwa, ale widząc, jak odległość dzieląca ich od hotelu szybko się zmniejsza, zateśknął, chyba po raz pierwszy w życiu, za nowojorskimi korkami ulicznymi.

- Zamierzasz wsiąść jutro do samolotu i uciec z Chapel Ridge, tak jak teraz usiłujesz uciec przede mną?

Wreszcie na niego popatrzyła.

- Przed niczym nie uciekam - odparła. - Po prostu wyjeżdżam. Czy to jakaś zbrodnia?

Ujął jej dłoń i począł ją głaskać. Nie wyrwała jej, lecz dłoń pozostała sztywna.

- Owszem, jeżeli robisz to, żeby uniknąć aspektów życia, które budzą w tobie lęk.

- Ja niczego się nie boję - odparła, butnie unosząc głowę.



- Naprawdę? - Drugą ręką delikatnie dotknął jej policzka. - A ja myślę, że boisz się tego samego co ja.

Susannah szeroko otworzyła oczy. Kane, który miał w życiu do czynienia z najpiękniejszymi szmaragdami, nigdy jeszcze nie widział klejnotów równie zachwycających jak zielone oczy tej kobiety.

- To znaczy czego? - spytała cicho.

- Miłości. Utraty panowania nad uczuciami.

- Ja...

Przyłożył palce do jej ust. Serce biło mu jak szalone. Z trudem się powstrzymał, aby jej nie pocałować. Musi być cierpliwy.

- Robiłaś, co mogłaś, żeby się we mnie nie zakochać. Miałaś po temu poważne powody. Podobnie zresztą jak ja. Musiałaś się zajmować siostrą, prowadzić salon, oszczędzać na wyjazd. Na nic innego nie miałaś czasu. Zastanów się, co tobą powodowało.

Susannah pokręciła głową, ale ze znacznie mniejszym przekonaniem. Limuzyna przez cały czas zmniejszała dystans dzielący ich od hotelu.

- No powiedz, Susannah.

Przesunęła w zamyśleniu palcem po szybie.

- Po śmierci rodziców wszyscy radzili, żebym odesłała Jackie do ciotki do Arizony, bo inaczej nie będę miała własnego życia. Nie potrafiłam się na to zdobyć.

- Bo za bardzo ją kochałaś - wyjaśnił Kane. Susannah przeniosła na niego wzrok.

- Uhm, bo tylko ona mi została. Poza nią nie miałam nikogo.

Po jej policzku spłynęła jedna łza. Wywołane burzliwym dniem emocje wyzierały z jej oczu. Jackie weszła dziś na nową drogę życia, a to oznaczało także przewrót w życiu jej starszej siostry. Kane nie sądził, aby bardzo się mylił, podejrzewając, że Susannah zaczyna już odczuwać pustkę po utracie resztki rodziny, której tak mocno się uchwyciła po stracie rodziców.

- Podziwiam cię za to - powiedział, otaczając ją ramieniem.

- Zrozum mnie, Kane - rzekła nagle, podnosząc ku niemu oczy - ja to zrobiłam dla siebie. Nie chciałam jej stracić. Po śmierci rodziców całe moje życie legło w gruzach. Gdyby jej zabrakło, zostałabym zupełnie sama.

Mimo głębokiego wzruszenia Susannah nie przestawała nad sobą panować. Doskonale to rozumiała.

- Ja zrobiłem coś podobnego - zauważył. - Z tą różnicą, że bez reszty poświęciłem się pracy. Wmawiałem sobie, że firma nie może bez mnie funkcjonować, że muszę spełnić oczekiwania ojca, ale to były wykręty. Gdybym naprawdę pragnął znaleźć idealną kobietę - uśmiechnął się kącikiem ust - już dawno wybrałbym się na wakacje.

Ona wreszcie nieśmiało odpowiedziała na jego uśmiech.

- Masz na koncie wiele takich wakacji?

- Tylko jedne. Wydaje się, że idealne kobiety można znaleźć tylko w Chapel Ridge.

- No, no, pan Maxwell nie będzie zadowolony, jeżeli powiesz tak o jego żonie - zażartowała.

- Ach, ty głuptasie - zawołał, przyciągając ją do siebie i nareszcie obsypując pocałunkami. - No, teraz już wiesz, kogo miałem na myśli.

- Faktycznie nie byłam do końca pewna - odparła z uśmiechem, zaraz jednak spoważniała. - Może miałeś rację, może ja rzeczywiście uciekam od miłości. Bo widzisz... łatwiej jest, kiedy się samemu kieruje swoim życiem. A w miłości trzeba oddać wodze częściowo w cudze ręce. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Chyba dobrze cię rozumiem. - Odgarnął jej włosy z czoła i je ucałował. - Przepraszam za to, co ci zaproponowałem. Źle postąpiłem. Tak właśnie postępował mój ojciec ze mną. Chciałem roztoczyć nad tobą kontrolę, bo nie mogłem znieść myśli, że cię stracę. Dopiero dzisiaj postanowiłem niczego ci nie narzucać, tylko otworzyć serce.

- Zaryzykować?

Kane skinął głową.

- Zaufać instynktowi. Bo coś mi mówi, że możemy razem stworzyć coś cennego. Po tym, jak mnie nauczyłaś łowić ryby i rozpalać w kominku, niczego się nie boję, nawet małżeństwa.

Susannah przekrzywiła głowę.

- Czy ktoś tutaj wspomniał o małżeństwie? - zapytała. - O ile dobrze pamiętam, wracamy właśnie ze ślubu.

Kane wyciągnął rękę i otworzył okienko dzielące ich od kierowcy..

- Sam, nie masz nic przeciw temu, żebyśmy wrócili do kościoła?

- Już się robi - odparł kierowca, niezwłocznie wykonując zwrot.

- Co ty robisz?

Kane zsunął się z siedzenia i przyklęknął na jedno kolano. Po tym, jak zdecydował, że nie może jej stracić, poruszył niebo i ziemię, aby dopiąć swego. Załatwił ekspresową przesyłkę pierścionka, zamówił limuzynę, upewnił się nawet, czy pastor będzie miał czas - na wypadek, gdyby Susannah powiedziała „tak”.

Jego miliardy po raz pierwszy okazały się prawdziwym błogosławieństwem. Otwierały wszystkie drzwi, a przede wszystkim przybliżały osiągnięcie największego szczęścia. Wyciągnąwszy z kieszeni pierścioneł ze wspaniałym dwu-karatowym brylantem, zapytał:

- Susannah, czy zostaniesz moją żoną?

- Co ty wygadujesz? - Otworzyła szeroko oczy. - Nie mogę za ciebie wyjść, przecież jutro wylatuję do Paryża, no i ja mieszkam tutaj, a ty tam, i...

Położył jej palec na ustach.

- Jakoś to wszystko pozałatwiamy. Zawsze marzyłem, żeby pojechać do Paryża jako turysta, a nie tylko w interesach. Musielibyśmy tylko na kilka dni odłożyć wyjazd, jeśli się zgodzisz.

- Jacy my? Dlaczego za kilka dni? - wybąkała niepewnie, jakby dopiero teraz sens jego słów zaczął do niej docierać.

- Bo obiecałem ojcu, że zabiorę go na ryby. Zanim odbędziemy naszą ceremonię i przyjęcie w hotelu, na pewno zaczniesz się nudzić.

- Dlaczego?

- Bo zostawiłem go w chacie z bezpańskim psem i smyczą. Zupełnie jak ty mnie parę dni temu.

Susannah parsknęła śmiechem.

- Chcesz nawrócić cały świat?

- Nie, tylko swoje najbliższe otoczenie. - Popatrzył jej w oczy. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?

Ona też popatrzyła mu w oczy i wyczytała w nich miłość. Miłość, która przyszła nagle i niespodziewanie. Więc jednak on ma rację, tak, wszystko jest możliwe. Zakochała się w tym tajemniczym mężczyźnie, który zaledwie parę dni temu chodził boso po jej trawniku.

- Tak - odparła, a on wsunął jej pierścionek na palec. - Kocham cię, Kane.

Objął ją i obsypał pocałunkami. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały globus z rodzaju tych, jakie można zobaczyć w agencjach turystycznych albo kupić na lotnisku. Nie było to nic cennego, lecz dla niego znaczyło bardzo wiele.

- Pierwszy symboliczny prezent ślubny - oznajmił, wkładając jej globusik do ręki. - Chciałbym ci podarować cały świat.

Susannah mocniej się do niego przytuliła.

- Już go mam - szepnęła.

- Ja też, najdroższa, ja też.

